



ZESZYT JEDENASTY I DWUNASTY.

ROCZNIK SZÓSTY.

SZCZĘŚCIE KOBIECE.

POWIEŚĆ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

(C I A G D A L S Z Y)

ROZDZIAŁ XIV.



W kilka dni po tym obiedzie siedziała Adelaida w białym kawtaniczku na kozetce i czytała dzienniki.

Koło południa otworzyły się drzwi zcicha.

— Czy ty Annetko? — zapytała Adelaida nie przerywając czytania.

— Ja, proszę pani — odpowiedziała jasnowłosa młoda dziewczyna z figlarnym wyrazem w oczach.

— Czy chcesz czego?

— Zapewnie panna będzie się ubierać.

Adelaida spojrzała na zegarek.

— Jeszcze tak wcześnie!

Annetka stała przy progu, jakby na coś czekała.

— Czego czekasz? — zapytała powtórnie Adelaida.

Annetka uśmiechnęła się, spuściła oczy w ziemię i zaczęła bawić się złotym pierścieniem, obracając go wkoło palca.

Adelaida patrzyła na nią z uwagą.

— Już widzę, że coś masz do mnie — rzekła z uśmiechem do służącej, która była jej faworytką.

— Żeby też panna wiedziała, co też ten strzelec przedwczoraj wygadał przed nami! Bardzo przyjemny człowiek, w zielonym mundurze jest mu bardzo do twarzy.

— Cóż mnie ten twój strzelec obchodzi?

— Strzelec mówił o swoim panu.

— O swoim panu? Cóż mógł o nim mówić?

— On mówił... ale ja się wstydzę powiedzieć... mówił, że pan jego może... ożeni się z pannunią.

Adelaida upuściła dzienniki i roześmiała się na całe gardło. Śmiech jej był szczery i serdeczny.

— Co też ty Annetko mówisz! — zawołała trzymając się pod boki ze śmiechu — on przecież taki stary!

— Ja tak samo mówiłam strzelcowi, a on mi mówił, że jeden z jego panów był jeszcze starszy, a ożenił się z jeszcze młodszą od pannunci.

Adelaida śmiała się jeszcze, ale ten śmiech tracił już coraz więcej ton naturalny i serdeczny.

Nagle dwie zmarszczki przecięły głęboko piękne jej czoło.

— Czy z tem do mnie przyszłaś? — zapytała na pół gniewnie.

— Nie z tem — odpowiedziała nieśmiało faworytka — przyszłam z czem innym.

— Z czem?

— Z tem, że panna zapewne ubierać się będzie. Wkrótce może przyjedzie...

Annetka miała przy tych słowach w oczach coś figlarnego, jej piękne usteczka trzymały z przymusem coś z zębami.

— Któż może przyjechać? — rozkazująco zapytała Adelaida.

— Kto? — jąkała powoli Annetka — prawdopodobnie... pan Edmund.

Adelaida uśmiechnęła się.

— Zkądże wiesz o tem? — zapytała łagodnie.

— Mówił mi propinator, który widział się ze stangretem pana Edmunda — odpowiedziała Annetka.

Adelaida myślała chwil kilka. Potem powstała z kozetki, przejrzała się w zwierciadle i kazała Annetce się ubierać. Annetka przysunęła jej fotel do gotowalni.

— Czy mam włosy dzisiaj utrefić à la negritine? — zapytała Adelaidy trzymając w ręku gruby warkocz ciemnych włosów.

— Nie — odpowiedziała Adelaida patrząc do zwierciadła — rozwiniesz je wolno i puścisz poza uszy.

— Tak jak panna Olga nosiła?

— Ach, jak jesteś niezręczną! Szarpiesz mię... Tak.

— Gdzie też się teraz panna Olga obraca?

— Czy ci na tem tak zależy?... Znowu mnie szarpnęłaś!

— Była tak dobra panna!.. Czy też ona kiedy do nas przyjedzie. Ale nie, ona zapewne nie przyjedzie.

— Z czegoż to wnosisz?... Ach co za nieznośny masz grzebień dzisiaj!

— Z tego wnoszę, bo człowiek przecież nie lubi szukać sobie zmartwienia. A ta miałaby wielkie zmartwienie!

— Jakie zmartwienie?

— Dowiedziałaby się, co źli ludzie mówią. Że też ludzie nie mają co lepszego robić, jak tylko innych obmawiać.

— Cóż mówią?

— Mówią bardzo brzydkie rzeczy, które naturalnie są nieprawdziwe. Mówią, że z panną Olgą miał się żenić pan Edmund, a że familia pana Edmunda w Warszawie sobie nie życzyła, więc przysłano Burskiemu pieniądze, aby Olgę z tąd zabrał i w świat za oczy wyjechał.

Adelaida zmarszczyła czoło.

— Głupi ludzie! ktoby tam zważał na to, co oni mówią!

— Przecież, proszę panny, jest to boleść, jeżeli tak mówią!

— Któż może twierdzić, że panna Olga jest winną?

— Wszyscy są tego zdania, a to człowieka bardzo boli.

Adelaida rozdarła koronkę od kaftaniczka.

— Człowiek nigdy nie powinien zważać na to, co świat o nim mówi, jeżeli tylko ma czyste sumienie — rzekła po chwili.

— Alboż to człowiek wie, kiedy ma czyste sumienie?

Czasami można siebie odurzyć.

— Przecież panna Olga nie może tego, co mówią, brać na seryo. Gdyby o mnie jeszcze gorsze rzeczy mówiono, śmiałabym się z tego. Alboż to człowiek ma prawo jakie, aby o nim koniecznie dobrze mówiono? Tyle jest głupich i złych ludzi, czyż można uniknąć złych języków? Nie, jabym się śmiała, śmiała z tych złych języków.

— Tak to łatwo mówić, ale gdyby na pannę rzeczywiście takie nieszczęście przyszło...

— Ręczę ci, żebym się śmiała, śmiała do rozpuku! — z gorączkową żywością odpowiedziała Adelaida i rozśmiała się głośno i przeciągle, dając swojej faworytce wyobrażenie tego śmiechu, jakim śmiałyby się, gdyby o niej coś złego mówiła opinia publiczna.

Annetka w milczeniu trefiła dalej włosy. Adelaida wpadała w coraz głębsze zamyślenie.

— Czy podać różową sukienkę? W niej będzie dzisiaj pannie bardzo dobrze. Twarz jest dzisiaj trochę bledsza...

— Dobrze — odpowiedziała Adelaida i spojrzała z uśmiechem zadowolenia do zwierciadła.

— Różowy kolor i panna Olga zawsze lubiła — rzekła nawiasem Annetka otwierając szafę.

Adelaida patrzyła czas niejaki zamyślona przed siebie. Jej czoło marszczyło się coraz więcej. Annetka zbliżyła się do niej z suknią różową.

— Jakaż to suknia? — zapytała Adelaida, jakby się przebudziła dopiero z zamyślenia.

— Różowa.

— Nie chcę różowej, daj mi białą spodnicę i jedwabną popielatą tunikę.

— W tej tunice wyglądasz pani tak poważnie, jak jaka niemłoda już mężatka.

— Daj mi ją dzisiaj.

Annetka z niechęcią usłuchała rozkazu pani.

Zeledwie draperya tuniki należycie była uporządkowana, gdy Anatol wszedł do budoaru i przybycie Edmunda zapowiedział.

— Radziłam suknię różową! — wyszepnęła ze smutkiem Annetka i tragicznie załamała ręce.

— Schowasz ją, jak przyjedzie ten stary pan ze strzelcem, z ironicznym uśmiechem odpowiedziała Adelaida i wyszła do saloniku.

W saloniku czekał na nią Edmund.

Na twarzy jego malowało się jeszcze rozdrażnienie, z jakim powitał nowy stan rzeczy w pałacu po swoim powrocie.

Rozdrażnienie to malowało się na jego jasnej twarzy dosyć wybitnie. Czoło nad brwiami poczerwieniało, silne, nierówne rumieńce wystąpiły mu pod oczyma.

— Czy przyszedłeś, mój kuzynie, znowu mnie dręczyć wybuchami jakichś ukrytych gniewów? — rzekła Adelaida podając mu rękę i uśmiechając się z niezrównanym wdziękiem.

— Jakże się nie gniewać — odpowiedział Edmund — jeżeli głupia opinia najdziwaczniejsze rzeczy o biednej Oldze rozpowiada, i do tego jeszcze miesza moje nazwisko?

— Cóż cię więc gorzej martwi, czy pierwsze czy drugie? — zapytała Adelaida patrząc na niego z uwagą.

— Jedno i drugie nie jest zabawne. Cóżbyś naprzykład, kochana kuzynko, powiedziała, gdyby ludzie jaki postępek

twój jak najzłośliwiej sobie wytłumaczyli i po całym świecie roznosili, jak to teraz robią względem Olgi?...

Uśmiech zimny zadrzał na ustach Adelaidy. Przystąpiła do Edmunda, położyła rękę na jego ramieniu i rzekła:

— Twoje rozdrażnienie ma swój grunt w dzisiejszych stosunkach twoich. Wszedłeś pomiędzy ludzi i przejąłeś się ich teoryami. Oglądasz się za tak zwanym głosem publicznym i kokietujesz z nim jak z piękną, ale nie zbyt obyczajną kobietą. Radzę ci, nie zważać na tę wietrznicę.

— Głosu publicznego nie można lekceważyć, on może czasem kogo zabić!

Adelaida zmarszczyła brwi.

— Czemuż używasz słów tak dosadnych o rzeczy niewielkiej wagi? Głos publiczny może tylko tych zabić, którzy są jego niewolnikami. Ludzie, wyżsi stanowiskiem nad poziom tego głosu, nie zważają nigdy na niego, tylko powodują się w czynnościach swoich swymi zasadami.

— Niesprawiedliwość jednak złej opinii zawsze martwi. Ja naprzykład nie wierzę temu, aby powody tak nagłego wyjazdu Olgi były prawdziwe, jak o tem twierdzą źli ludzie, jestem również przekonany, że i ty kochana kuzynko temu nie wierzysz...

— Ja o plotkach żadnych nic nie wiem, nic o nich nie słyszałam, a zatem nie mam potrzeby im wierzyć lub nie wierzyć.

Adelaida okazywała przy tych słowach coraz większe rozdrażnienie, z którym jej wcale nie było do twarzy. Brwi jej ściągnęły się, na czole zarysowały dwie głębokie zmarszczki. Uśmiech, który jej tyle nadawał uroku, znikł z jej twarzy, a natomiast zostawił jakiś surowy wyraz po sobie.

— Jeżeli tylko po to przychodzisz — ozwała się gniewnie — aby mnie drażnić jakimiś przymówkami, których znaczenia nie rozumiem, to może lepiej będzie, gdy cię nie tak często widywać będę!

— Nie gniewaj się, kuzynko — odparł Edmund całując ją w rękę — nie odpowiadam w tej chwili za moje słowa, bo mnie serce boli na widok krzywdy.

— A cóż mnie to obchodzi? Jeżeli kto Oldze krzywdę wyrządza, to idź do niego. Że Olga wyjechała, nie ma w tem nic dziwnego. W pałacu czekało ją stare panieństwo a nie więcej. Trudno było wymagać od niej, aby dla naszej zabawy, dla rozpędzania nam nudów, dla czezej szermierki słów i zadośćuczynienia naszym chwilowym kaprysom poświęciła całe swoje życie. Wyszedłszy z łaski pałacowej, uściele sobie w świecie niezależne i stosowne dla siebie stanowisko, na którym może spotkać jakiego poczciwego człowieka, co jej rękę poda na całe życie.

Edmund drgnął tutaj, jakby go coś ukłuło, ale wymownej kuzynce nic nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ XV.

Po tej rozmowie nastąpiła w pałacu i na folwarku dawna, jednostajna cisza, w której z jednej strony panował samowładnie duży, w jadalnym pokoju zawieszony zegar z olbrzymimi liczbami godzin na okrągłej twarzy, a z drugiej stony niestrudzony nigdy Mirski, który niewyczerpany był w raportach o postępie gospodarki i innych rzeczy.

Regularnie kilka razy na dzień przychodził do dużego zegaru stary Anatol i patrzył na niego z uwagą, czy już nakrywać do obiadu, lub czy wołać państwa do herbaty. To stanowiło jedyny ruch w pałacu, w którym teraz było tak cicho jak w grobie.

Adelaida popadła w dziwny stan duszy. Uspokajając swoje tkliwe sumienie, wydobywała coraz więcej szlachetnych powodów, które ją zmusiły w ten sposób z Olgą postąpić, jak postąpiła. Ta nieustanna praca uszlachetnienia czynności swojej, a tem samem i uszlachetnienia siebie, wywarła ten naturalny skutek, że Adelaida nietylko w szlachetność swego postępowania uwierzyła, ale nawet uczuła się szlachetniejszą.

W takim stanie rzeczy, pierwszy a prawdziwy powód jej postępowania musiał się w głąb cofnąć. Zamiar jej względem Edmunda musiał teraz zupełnie odpaść, jako też na pozór zupełnie odpadł.

Adelaida nie mogła nawet teraz ani pomyśleć o tem, aby po odniesionem w ten sposób zwycięstwie nad Olgą chcieć nad Edmundem wszechwładnie zapanować. Ta myśl mogłaby rozwalić całe rusztowanie szlachetnych motywów, które tak mozolnie zestawiała, i odkryć niemiłe dno prawdy, którego widzieć nie chciała.

Wmówiła więc w siebie, że bez żadnych egoistycznych widoków postąpiła sobie, i że przytem względem Edmunda żadnych zamiarów nie miała. Było to dla niej tem łatwiej do uwierzenia, im z każdym dniem więcej się przekonywała, że za Edmunda ze względów materyalnych w żaden sposób iść nie może.

Nie chcąc więc teraz i nie mogąc zniewolić sobie serce Edmunda, jak tego niegdyś pragnęła, popadła w pewną apatyę nie tylko dla niego, ale nawet i dla wszystkiego, co się wkoło niej działo.

Zimno więc przyjmowała Edmunda, bez najmniejszego szafanku owej niewinnej zalotności, właściwej młodym kobietom. Była to prosta konsekwencya, do której zaszła drogą swego rozumowania.

To jednak zimne i nic nieobiecujące zachowanie się Adelaidy sprawiło na Edmundzie przeciwne wrażenie.

Edmund jak pierwaj tak i teraz bywał często w pałacu. Czy to pochodziło z przyzwyczajenia, czy z potrzeby rozerwania się w samotności swojej, codziennie prawie kazał do wózka zaprzęgać i do pałacu jechać.

Z początku wyobrażał sobie, że robi to ze smutku, który mu w samotności mocno dokuczał. Obraz Olgi sta-

wał mu nieustannie przed oczyma. Zbyt głęboko wszedł on do duszy, aby tak prędko mógł się tam zatrzeć. Niepokoił go na każdym kroku i czynił mu wyrzuty, że fakt spełniony przyjął z taką samą cyniczną odwagą, z jaką czasem mocarstwa przyjmują najwidoczniejsze rozboje na innych narodach.

W tym smutku swoim jechał czempredzej do pałacu, uspokajając się w duszy, że tylko w pałacu może o niej coś się dowiedzieć. W tej myśli i z tego powodu powtarzał zrazu wizyty swoje, i tak powoli przyzwyczaił się i do wizyt i do dzisiejszego stanu rzeczy.

Olga pozostała dla niego snem tylko i wspomnieniem czegoś rokosznego, co na chwilę zabłysło i zaraz zgasło. Nie stracił wprawdzie nadziei, że ta gwiazda kiedyś mu się pokaże, ale uznał za rzecz niemożliwą, szukać jej po szerokim świecie.

Była to tylko jaśniejsza strona tego widma. Odwrotna nie wydała mu się tak ponętną. Uporczywie siedziała mu myśl w głowie, że Olga mogła rzeczywiście rzec się jego za pewne wynagrodzenie, jeśli ludzie tak wiele o tem mówią. Myśl tę brzydką starał się wprawdzie z duszy wyrzucić, ale walka z jej uporczywością wyczerpywała jego siły i lepsze instynkta.

Zdał się więc na fale życia i wyczekiwał w pewnej bezczynności, gdzie go te fale dalej zaniosą.

Wprawdzie z tego życia zabierały mu wiele raporty i narady z Mirskim, ale zostało się jeszcze coś na wizyty w pałacu.

Być nawet może, że narady z Mirskim były tego rodzaju, które wszystko inne w głąb usuwają jako rzeczy podrzędne. Być może, że Edmund zajęty takimi sprawami nie mógł nawet dać ucha głosowi swego serca, które się prawa swego dopominało; być może, że były to rzeczy, o których poeta mówi, że im nie można dać „pół serca, pół duszy“; dosyć, że wspomnienie Olgi gasło coraz więcej, jak gaśnie zesza w blasku gwiazda zarania, gdy ciemne chmury północy na nią kir swój zarzuca...

Gdyby Adelaida w tym stanie rzeczy chciała go urokiem swoim do siebie przyciągnąć i być mu tem, czem dla niego była Olga, odepchnąłby ją niezawodnie od siebie. Wypływałoby to z istoty rzeczy. Do tego wzbudziłaby w nim słuszne podejrzenie, że ona to usunęła Olgę, aby jej miejsce zająć.

Ale Adelaida, jak wiadomo, nie była wcale w tem usposobieniu, aby Edmunda przyciągać do siebie. Przeciwnie, jej stan duszy wymagał teraz od niej, aby dla niego była zimną i obojętną, aby go odpychała.

Edmund zrazu nie spostrzegł tego. Był smutkiem swoim zajęty i kontent, że tego smutku nikt mu nie przerywał. Siedział zadumany na kozetce, słuchał z roztarżeniem, gdy Adelaida na fortepianie grała lub jaką pio-

senkę spiewała. Często nawet wydarzało się, że on dzienniki czytał, a ona powieść francuską przewracała.

Po niejakiem czasie uderzyła go ta obojętność Adelaidy. Jakaś zimna przestrzeń dzieliła ją od niego. Coś było w tej przestrzeni dziwnego, co mu jej nigdy przekroczyć nie dało. Kilka razy zapędział się, mówił z uśmiechem o rzeczach potocznych, chciał być nawet jak dawniej do wcielnym, ale wszystko to nie wystarczało, aby się do Adelaidy mógł tak zbliżyć, jak to dawniej było. Nawet granice ich pokrewieństwa rozszerzyły się jakoś, i kilkakrotnie użyli do siebie tego zimnego słowa: pan, pani.

Czyż było to widmo biednej Olgi, które zimnem grobowem zaległo tę przestrzeń między nimi i nie pozwoliło im się zbliżyć do siebie?

Adelaida była niezmiennie zimna i niezmiennie obojętna.

To poruszyło Edmunda i rozbudziło w jego duszy pragnienia, aby próżne dzisiaj serce czemś napełnić. To serce w wyjątkowym jego dzisiejszem położeniu potrzebowało jakiegoś narkotyku, czemby się upoić mogło. Odpór ze strony Adelaidy podniecał jeszcze tem więcej te pragnienia.

I tak powoli, nieznacznie wszedł Edmund znowu na drogę, na której był w pierwszych początkach widzenia się z Adelaidą.

Adelaida spostrzegła tę zmianę frontu. Z początku przyjęła ją zimno i obojętnie. Podrażniła go nawet kilka razy groźbą, że mu wszelką w tym względzie nadzieję odbiera.

Groźba ta była zrazu szczerą. Adelaida wobec swego sumienia nie mogła inaczej sobie postąpić. Wierzyła, że tak być musi.

Po niejakiem czasie wyrozumowała sobie, że ze strony kobiety nie ma w tem żadnej winy, jeśli ktoś się w niej kocha, byle ona tylko swego serca wzamian mu nie dawała.

Ten sofizmat tak specjalnie kobiecy przypadł jej bardzo do smaku. Czyż ja mogę komu zabronić kochać się we mnie — mówiła do siebie w chwilach samotnych — jeśli mu z mojej strony żadnem słowem nic nie obiecywałam?..

Sofizmat taki graniczy z pochyłością drogi, na którą wraz z nim wstępuje kobieta.

Adelaida pozwalała sobie adorować, to jest, postanowiła być bierną. A bierności tej nie ubliżalo wcale, jeśli teraz kazała się często ubierać w suknię różową, w której wyglądała cudownie, jeżeli włosy swoje kazała trefić, jak je nosiła Olga, jeżeli grała i spiewała te same sztuki i pieśni, które Olga grała i spiewała.

Również nie przekraczała roli biernej, jeśli z Edmudem jak z kuzynkiem zbyt poufale rozmawiała, jeśli mu kwiaty swoje ulubione okazywała, i jak na folwark

odjeżdżał, wielką troskliwość o jego wątłe zdrowie objawiała.

Na tak pochyłej drodze nie można jednak było długo się utrzymać. Potrzeba było koniecznie zejść tam, gdzie ona prowadzi.

I zanim oboje się spostrzegli, nim Edmund ostatecznie z widmem Olgi mógł się uporać, już byli oboje na falach tego uczucia, które zwykli ludzi czasem miłością nazywać.

Serce Adelaidy mimo wszelkich rozumowań pragnęło tego uczucia, a dla Edmunda było ono wygodnym plastrem na odniesioną ranę.

I tak powoli zawahała się na uroczych falach wspólna łódka ich życia, pomknęła naprzód lotem ptaka w cudowne ostrowy marzeń i rojeń rokosznych, i byłaby może zaniósła ich do portu ostatecznego szczęścia ludzkiego, mimo drobnych widm i strachów, gdyby gdzieś od niewidomego brzegu nie uderzyła niespodziewana fala, i słabej łódki nie rzuciła na skałę podwodną.

Na tej łódce straciła Adelaida z oczu wszystkie swoje dawne widoki. Zapomniała o rojonych planach życia, zapomniała o wymarzonych potrzebach tegoż, i była tylko kobietą.

Uderzenie o podwodną skałę obudziło ją.

ROZDZIAŁ XVI.

Dni te szczęścia i pogody przerywane były czasem odwiedzinami pana Wojciecha, który teraz coraz częściej zaczął bywać w pałacu.

Wizyty te były niejako rozmaitością w jednostajnym życiu mieszkańców pałacu. Osobliwie pan Albert rad był tym wizytom, bo pan Wojciech wiele rozmawiał z nim o obrazach, na których prawdopodobnie znał się więcej od pana Alberta.

Oprócz tego spierał się także uporczywie z Edmudem o rozmaite teorie społeczne, a przedewszystkiem starał się w niego wmówić, że gwałtowne ruchy w społeczeństwie nigdy nie prowadzą do dobrego.

Edmund rad zostawiał mu stanowisko starego konserwatysty, a sam licząc siebie do ludzi postępowych, bronił wobec niego zasad tychże. Co do gwałtownych ruchów w społeczeństwie, tej kwestyi unikał starannie, omijał jak mógł natarczywe razy swego antagonisty, a wkońcu wręcz się wszystkiego wypierał.

Tym sposobem ożywiały się wizyty pana Wojciecha i w całym szczupłym towarzystwie budziły na kilka godzin jakieś nowe życie, które przypominało dawne sejmiki Rzeczypospolitej.

Adelaida w tych dysputach stawała zawsze po stronie pana Wojciecha, za co Edmund wcale się nie gniewał, bo

wiedział, że ta różnica zdań tylko parę godzin zazwyczaj trwała.

Pan Wojciech bardzo rad był tak pięknemu sprzymierzeńcowi, i często za popieranie jego zdań ścisnął drobną rączkę, która w zapale dysputy często Chrzanowską z Trębowli przypominała.

Otóż gdy pan Wojciech pewnego dnia, jak zwykle, na dysputę ze swoim strzelcem przyjechał, zastał mieszkańców pałacu w jakimś wyjątkowym położeniu, którego sobie długo nie mógł wytłumaczyć.

Zaraz w dziedzincu przywitał go Anatol chmurnem obliczem. Zapytany jak zwykle o zdrowie, nie dał żadnej odpowiedzi. Na ganku stało dwóch żydków, z których jeden miał rudą brodę, a drugi był zyzooki. W przedpokoju siedział z butną miną pachofek jakiegoś urzędu z jedną krótszą nogą. A gdy pan Wojciech na pierwsze piętro wyszedł, ujrzał tam urzędnika z łysą głową, który po pokojach chodził i coś do pugilaresu wpisywał.

W pierwszej chwili nie mógł pan Wojciech odgadnąć, co znaczy ten dziwny zbiór ludzi rudych, kulawych, łysych i zyzookich. Już sam wzgląd na przesąd ludu, który twierdzi, że Bóg nie napróżno ludzi w ten sposób znaczy, nie obiecywał mu nic dobrego.

Z niepokojem otworzył drzwi do saloniku. Ujrzał tam Adelaidę stojącą w negliżu, z włosami rozpuszczonemi. Jej twarz była bledsza, niżeli zwykle, i miała ślady silnego wzruszenia. Przed nią stał jakiś jegomość z dużym nosem i mówił coś z niezbyt wielkiem uszanowaniem.

Adelaida obaczywszy pana Wojciecha krzyknęła z przerażenia, a pan Wojciech szybko cofnął się, aby nie być świadkiem jakiejś sceny niemilej.

W tej chwili ujrzał za sobą pana Alberta w oliwkowym surducie, który mu się teraz jeszcze starszym wydawał, i serdecznie uścisnął mu rękę, bo wiedział, że jakieś nieszczęście nawiedziło dom jego.

Pan Albert wziął go do swego pokoiku, zamknął za sobą drzwi i rzewnie zapłakał.

Opowiedział mu, że jacyś źli ludzie upominają się u niego o długi, o których on nic nie wie, i teraz sprowadzili sekwestratora, który mobilia pałacu wpisuje, aby je wystawić na publiczną licytację. Najmocniej boli go to, że jego nieoceniona galerya obrazów, która dla ślepego milion jest warta, padnie ofiarą łupieżców i sprzedaną będzie za bezcen, nim on jeszcze zdołał dobrze ją rozklasyfikować i stosownie wydać katalog.

Pan Wojciech słuchał ze smutkiem tej skargi. Wprawdzie wspomnienie o zbiorze lichych obrazów wywołało na twarz jego uśmiech ironiczny, wprawdzie tłumaczenie się względem fikcyjnych długów wydało mu się nawet śmiesznem ze strony pana Alberta, uczuł jednak głęboki smutek, bo widział katastrofę, którą w okolicy dawno przewidywano.

Stan bowiem majątkowy pana Alberta był opłakany. Był tytuł dziedzictwa miasteczka, ale prócz propinacyi nie było ani paszy ani chleba. Na propinacyi ciążyły już znaczne długi, a tylko przebiegły Burski umiał z resztków lasu po kilka reńskich codziennie wydobyć, aby codzienne potrzeby pałacu załatać.

Następcy Burskiego niezawsze to się udawało. Powstawały ztąd kollizye nie bardzo pomyslnie dla kredytu mieszkańców pałacu. Kilka niepowodzeń przyspieszyło katastrofę, której teraz świadkiem był pan Wojciech.

Pan Wojciech ani chwili nie namyślał się. Gdy pan Albert swoją skargę zakończył, dobył pan Wojciech gruby pugilares z zanadrza i przed panem Albertem na stole położył.

Pan Albert rozplakał się po raz drugi na widok grubego pugilaresu, który mu przypomniał jego młode lata. I on ongi miewał takie grube pugilaresy i wypróżniał je zagranicą...

— Jeżeli mię kochasz — ozwał się po chwili pan Albert — to szanuj moje nieszczęście. Jałmużny przyjąć nie mogę!

— Ależ sąsiedzie, ja ci tylko pożyczam — odpowiedział z dobrotliwym uśmiechem pan Wojciech — jak uporządkujesz twoją galeryą i katalog rozeszlesz po Europie, to wtedy przyjdę do ciebie i powiem: oddaj.

— Jeżeli tak, to przyjmuję — rzekł ocierając oczy pan Albert — za moje obrazy wezmę przecież dziesięć razy więcej.

Pan Albert zawołał urzędnika...

Za godzinę siedział pan Wojciech w saloniku naprzeciwko Adelaidy w popielatej tunice i rozmawiał tak wesoło i dowcipnie o rzeczach codziennych, jakby w tym domu żadnej katastrofy nie widział.

Duże ciemne oczy Adelaidy spoczywały na nim nieruchomie. Malowała się w nich wdzięczność niewypowiedziana, bo słowa nie mogły jej wypowiedzieć, gdyż pan Wojciech kazał panu Albertowi swoją interwencją w milczeniu zatrzymać. Adelaida jednak wiedziała o tem.

Pan Wojciech jakby się nic nie stało, był wesoły, żartował wiele, prosił nawet o grę na fortepianie, ale Adelaida wymówiła się migreną. Światowej ogłady sąsiad wziął to za powód spiesniejszego odjazdu z pałacu, czego mu ani ojciec ani córka niebardzo wzbraniali, gdyż katastrofa mocno ich zmęczyła.

Po odjeździe pana Wojciecha padła Adelaida jak nieżywa na sofę i długo leżała tak, podobna więcej do pięknego posągu, niżeli do żyjącej istoty. Tylko silnie bijące żyły na skroniach okazywały, że ten piękny posąg żyje, ale okazywały oraz, że strasznie cierpi.

Dwie godziny leżała tak Adelaida, leżała póki zmrok nie zapadł, aż nadeszła Annetka, wzięła ją na ręce i w łóżko położyła.

Całą noc przebyła Adelaida bezsenne. Dziwne obrazy stawały przed jej oczyma. Jedne były urocze i rokoszne, a do nich uśmiechały się boleśnie jej usta, drugie brzydkie i wstrętne, a od nich odwracała się i jęczała.

Dzień zastał ją z otwartymi oczyma. Annetka przysłała i ubrała ją. Siedziała jak posąg martwa i szeroko rozwartymi oczami patrzyła przed siebie.

Tak przeszedł cały dzień. Ojciec nic nie mówił do córki, bo czuł się winnym tej katastrofy, a córka nie chciała ojcu nic wyrzucać. Grobowe, straszne panowało milczenie w całym pałacu, bo nawet służba lękała się mówić między sobą o tem, co zaszło.

Nastąpiła znowu noc, dla Adelaidy bezsenna. Była przerażająco biała, gdy wstała nazajutrz. Kazała się ubrać w suknię różową i z przykrym uśmiechem usiadła na kozetce.

Za godzinę wszedł Edmund.

Witając się z Adelaidą przestraszył się jej twarzy. Różowa suknia podwyższała jeszcze jej błądź.

Podawała mu do uścisku rękę zimną, lodowatą.

— Nie gniewaj się — rzekła do niego głosem zmienionym — nie gniewaj się na mnie, żem zimna i lodowata, bo właśnie w tej chwili zamiera we mnie wszystko to, co niedawno sprawiło mi tyle rokoszy...

Łzy z polyskiem lodu stanęły w jej oczach.

Edmund przestraszył się i cofnął wtył dwa kroki.

— Cóż się stało? — zapytał gorączkowo.

— Nic się nie stało niespodziewanego, to co jest, jest tylko dalszą nicią rozsnuwającego się wątką.

— Słów twoich nie rozumiem.

— Masz krótką pamięć. Przypomnij sobie rozmowę naszą pierwszego dnia twego przybycia. Temat jej był: jesteście ubodzy — a dzisiaj rozwija się tylko ten temat coraz więcej.

Edmund patrzył na nią w zadziwieniu.

— Nam nie wolno tak czuć — mówiła dalej Adelaida — jak czują ludzie pospolici, bo my mamy obowiązki, jakich oni nie mają. Obowiązków tych musimy dopełnić, choćby nam serce pękało! Ha! inni tego nigdy nie zrozumia!

— Cóż to wszystko znaczy? — zapytał Edmund niecierpliwie.

— To znaczy, mój drogi kuzynie — odpowiedziała dumnie Adelaida wstając z krzesła — że drogi nasze dzisiaj rozchodzą się na zawsze.

Wymówiwszy te słowa zbladła jeszcze więcej i odwróciła się szybko do okna.

W tej chwili zaturkotał powóz na dziedzińcu.

Edmund wyjrzał oknem i z dziwnem uczuciem obaczył strzelca, jak drzwi powozu otwierał i panu Wojciechowi rękę podawał.

Pan Wojciech mozolnie i z wielką ostrożnością szukał chorą nogą stopnia powozu...

Za tydzień mówiła służba głośno o tem, że pan Wojciech stara się o pannę, za dwa tygodni była już Adelaida rzeczywiście zaręczoną, a za miesiąc proboszcz z miasteczka w pałacowej kaplicy dawał ślub młodej parze i miał stosowną przytem przemowę. Mówił wiele o miłości i posłuszeństwie dzieci względem rodziców i o szukaniu tejże miłości w poświęceniu się i w abnegacyach życia, zostawiając innym fraszki światowe...

Na ślubie było tylko kilka świadków.

Edmunda nie było.

ROZDZIAŁ XVII.

Podczas kiedy w pałacu ten akt uroczysty się odbywał, zakryte było niebo szarą jednostajną chmurą, z której sączył się deszcz drobny, ale nieustający. Wiatr zimny, jesienny sunął się z wolna po dolinie i obrywał żółkłe liście, rzucając je na ziemię.

Na tem smutnem, chłodnem tle malowały się jeszcze smutniejsze obrazy. Przed pałacem stał duży, pakowny powóz z zamkniętym szczelnie forderdachem. Zdaleka widziany był podobny do karawanu, który czeka na trumnę nieboszczyka.

I wkrótce też zjawiała się służba pogrzebowa. Na szarem tle deszczu odbiły się teraz czarne, zgięte postacie, które dźwigały ostrożnie jakiś ciężar, czarną obity skórą. Nie była to trumna, ale kufer z wyprawą panny młodej. Śróbowano i przybijano jakby wieko do trumny, a czynność ta odbywała się w głębokim milczeniu.

Na twarzach ruszającej się służby ani poznać było, że tu odbywa się wesele młodej pary. Wypadek ten przestraszył, pomieszał wszystkich. Prości ludzie, którzy obrażenia nie mieli o tem, że posiadając pałac, las i propinację można być względnie bardzo ubogim, nie mogli sobie tego wytłumaczyć, jakim sposobem tak piękna i młoda kobieta może za męża wybierać sobie człowieka tak starego i do tego ułomnego!

— Bogaty, bogaty! — odzywał się ktoś z pomiędzy nich.

— Ależ na Boga! — odpowiadano chórem — przecież pieniędzy nikt nie jada, a jadła jej dotąd w pałacu nie brakowało? byłoby się w co ubrać!

Kiedy w milczeniu wszystkie kufry przymocowano, otworzyły się drzwi sieni, a z niej wyszła blada jak widmo Adelaida i opierając się na ramieniu swego starego męża, kroczyła powoli do czarnego powozu, który teraz dopiero stał się istnym karawanem...

Płacz pozostałych kobiet utwierdzał patrzących zdala, że to był pogrzeb rzeczywisty...

A dziwnem zrządzeniem przypadku właśnie w tej chwili świeciło jasne słońce na drugim końcu gór karpackich i ciekawie zaglądało do małego dworku, który jadącemu od północy wydawał się z dala, jak ptak białopióry, przyczepiony do ściany skalistej.

Był to dworek mały, mieszczący zaledwie cztery pokoiki. Ale pokoiki te były czyste, wybielone. Urządzenie było skromne, i jak widać zupełnie nowe. Jeden pokoi był przeznaczony dla gości, drugi dla spraw gospodarskich, z żelaznem łóżkiem, nakrytem kocem węgierskim, a dwa inne jak widać zajmowała kobieta. Było tam potrosze tego co błyszczący i ubiera, ale było bardzo skąpo. W jednym pokoiku leżała na stole cytra, a po drugiej stronie stał mały stolik z podniesionym do góry obrazem, przy którym spoczywały pędzle i paleta. Biała jak śnieg kotka wygrzewała się na oknie do ciepłego, jesiennego słońca.

W dworku nie było nikogo, drzwi pootwierano na rozcież, jakby tutaj złych ludzi nie było.

I w samej rzeczy o ludzi było tu bardzo trudno. Dworek stał na pochyłości wysokiej góry od połowy szpilkowym lasem porosłej. Przed nim był mały jar, na dnie którego mrucał potok górski, a na przeciwko znowu góra, przecięta tylko w jednym miejscu cienkim paskiem, który był drogą prowadzącą z tego ustronia w świat szerszy.

Tak tu było cicho i miło, tak uroczem świeciło słońce, a tak błękitne było niebo, że można było tę dolinkę wziąć za skrawek ziemskiego raj, jeżeli wogóle na ziemi jaki raj być może.

Wkrótce pojawił się ruch w tym dworku. Z małego ogródka wyszła młoda kobieta, o dużych złotych puklach włosów spadających na śnieżne ramiona. Miała krótką sukienkę bawełnianą i ciemny z szerokimi rękawami kaftaniczek.

Z drugiej strony od potoku okazał się szpakowaty mężczyzna z rumieńcem na twarzy i wąsem krótko przystrzyżonym. W siwym oku była pogoda i zadowolenie.

— Czy krowy napiły się w potoku ojczulku — zapytała jasnowłosa rusałka — czy trzeba kazać je napoić.

— Piły z potoku — odparł szpakowaty jegomość z powagą — sam widziałem. Czy masz tam co do podoju?

— Nastusia mówiła, że trawy jeszcze wystarczy.

— Ale trzeba przygotować na kilka dni, bo nie wiem czy jutro lub pojutrze nie zmieni się pogoda. Coś tam na zachodzie nie dobrze świadczy! Patrz!

Złotowłosa rusałka spojrzała na zachód. Była to wązka przestrzeń między górami, pozaktóremi zazwyczaj słońce zachodziło.

Jasna ta smuga nieba była dobrze znaną pięknej rusałce. Były dni i tygodni, w których nie odwróciła ona oczu od tej smugi białej, a często oczy te były łzami

zalane. Całemi godzinami siedziała w oknie oparta na drobnej rączce i patrzyła na tę smugę, jakby z niej miało ku niej spłynąć oczekiwane zbawienie...

Była to smuga dobrze znana i dobrze wypatrzona. Wyrajały się z niej częstokroć rokoszne marzenia, ale często także jakby z otchłami jakiej wydobywały się ztamtąd czarne widma, na które krew się ścina i serce pęka!..

— Czy ta biała wstęga deszcz wróży czy grzmoty? — zapytała piękna rusalka.

— Wróży kilkudniową słotę — odparł z należytą powagą zapytany.

Rusalka zwiesiła smutno głowę.

Była to Olga z ojcem.

Starego Burskiego niktby teraz nie poznał. Dotrzymał słowa danego córce, że skórę swoją ekonomiczną ściągnie. Rzeczywiście tej skóry już na nim nie było. Wybielała jakoś a nawet wyprężyła się na nowo. Przygarbione niegdyś barki wyprostowały się, głowa podniosła się do góry. Twarz nabrała wyrazu niezależnego bytu i niepodległości. Szerokie usta wydały się dumą, a czoło miało oznaki niepospolitego wewnątrz rozumu.

Wszystko to zdziałała mała, górską wioszczyna.

Przylączył się do tego i ubior. Burski miał na sobie krótki popielaty surdut, buty wysokie z kozłowej skóry i kapelusz pilśniowy z czarną aksamitką.

Olga na pozór nie zmieniła się wcale. Miała wprawdzie twarz teraz więcej opaloną, niżeli w pałacu, ale nie odbierało to jej bynajmniej dawnych wdzięków.

Mimoto badawcze oko mogłoby w tej twarzy wyczytać wiele, bardzo wiele wzruszeń, przez które przechodziło to młode, sieroce serce, nim przyszło do pewnej równowagi, bez której żyć nie podobna.

Trzy miesiące upływały od czasu rozstania się z pałacem, a jakże długie były te tory nieszczęść! Ileż to niepokojów przebyło się od owej nocy księżycowej, w której stary Burski uciekał — od siebie samego!

Od początku tej ucieczki zakrawał nawet na to, że dostanie manii obawy przed własnym cieniem. Tak silnie działał na niego nienaturalny stosunek do córki. Zdawało mu się, że każdy przejeżdżający patrzy na niego, z kądem wziął taką kobietę, że odgaduje: czy to sługa, czy krewny jaki daleki, posługujący romantycznej wojażerce? Marszczył czoło na każdego, o którym myślał, że go nie ma za ojca, a nawet kilka awantur zrobił na popasach w karczmach, gdy arendarze jego słowem wierzyć nie chcieli.

Wreszcie po dwóch tygodniach ustawicznej jazdy w szerz i w poprzek drogi, zdążył Burski do tego dworku, który wprawdzie nazywał się wioską, ale w takim znaczeniu, w jakim kropla wody także wodą się nazywa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

G W A Ł T.

NAPISANE

J. Z.

Dziwnie się plecie
Na bożym świecie:
Anioł truchleje,
Szatan się śmieje.

I.

W ogródku pod lipami
Stał chłopiec przed dziewczyną,
Jedyny przed jedyną,
Bo sami byli, sami.
Z chmur księżyc się wysuwał
I mierzył ich z ukosa;
Świeciła boża rosa,
I anioł pański czuwał.

Majowym rankiem Laszek,
A zorzą była Laszka;
Do nieba, jako ptaszek,
Duch leciał młodzieniaszka;
A w duszy Laszka hoża
Półsenna, półocknięta,

Jak napół rozwinięta
Na wiosnę w pączku róża.
Lecz pączek woń siał wkoło,
Promieniło się czoło.

I stali obok siebie
W milczeniu uroczystem;
Chłopiec był duszą w niebie,
Dziewczyna okiem czystym
Zawisła na błękicie,
Na gwiazdach, co jak oczy
Mrugały na nią, skrycie.
On serce ręką tłoczy,
W anielskie patrzy lica,
Widokiem ich się poi,
Poi się i zachwyca,
I długo niemy stoi.
Aż wreszcie dłoń jej chwyta,
Do piersi swej przyciska,

I łzawem okiem błyska,
I drżącym głosem pyta:
„Czy kochasz mnie, Marylko?”

— „Kocham cię jak — braciszka.
Odpowie towarzyszka.

— „Jak brata kochasz tylko!”
Zawołał chłopiec w szale —

I uśmiech archanielski.
Szaloną pędząc jazdą
Po ciemnych dróg rozłodze,
Ujrzałem gwiazdę w drodze:
Marylko, tyś tą gwiazdą!
Niesiony bystrym prądem
Przez morza wściekłe wały,
Gdym na brzeg wysiadł cały,
Szerokim biegiem ładem:



ZASIĘGANIE JĘZYKA. (Obraz J. Kossaka z pamiętników Paska.)

„Rozumiem, co to znaczy...
Ja kocham cię inaczej,
Ja płonę, ja się palę!
Miły mi ojciec, matka,
I siostra ma jedyna;
Tyś miłsza niż rodzina.
Czem rosa jest dla kwiatka,
Dom dzieciom rodzicielski,
Tem dla mnie głos twój śpiewny,
Tem dla mnie wzrok twój rzewny,

Step wkoło, step gdzie biegiem,
Ś niertelne tchnął zarazy;
Jam gonił, aż spostrzegłem
Kwiat cudny wśród oazy,
Pokrytej barw szkarłatem:
Marylko, tyś tym kwiatem!
O gwiazdo jasna, złota!
O kwiecie w marzeń stepie!
Twem tchnieniem siły krzepię,
I snując nic żywota

Z promieni twego czoła,
Na kanwie z wiosny puchu
Wyszywam niebo w duchu,
Pod skrzydłem archanioła.
O! powiedz słowo tylko,
Zbaw albo zgub Marylko!

Dziewczyna nic nie rzekła,
Błysnęła łzawem okiem,
W bok patrząc, raka spiekła:
Duch rzewnym mówił wzrokiem.
Kochanek już nie pytał,
Odpowiedź z ócz wyczytał.

— „Marylko! słuchaj luba,
Bóg karze przeniewierce,
Niech umrę, niech to serce
Przeszyje miecz Cheruba,
Jeżli ci złamię wiarę!”

Na słowa młodzieniaszka
Wstrzęsły się lipy stare,
Zadrżała w gnieździe ptaszka,
Zadrżała w sercu Laszka.
On objął ją ramieniem,
I słodkiem ócz spojrzeniem
Zwiął z czoła jej frasunek;
Rozmarzon, skłonił głowę,
Na usta koralowe
Wycisnął pocałunek.
Na to się w jednym czasie
Wzruszyły boże kwiatki,
Mrugnęły gwiazdy na się,
I księżyc oczom matki
Pełniejszym wdziękiem błysnął.
A chłopiec wziął jej rączkę,
Założył swą obrączkę,
I westchnął i uścisnął.

I siedząc z nią w ogrodzie,
W lip starych miłym chłodzie,
Nie spostrzegł, jak czas leci;
Aż ojców głos z pod dachu,
„Marylko!... Staszku! Stachul!”
Do domu wezwał dzieci.

II.

Minęła wiosna jedna,
I lato, zima długa,
Minęła wiosna druga;
Marylka tęskni, biedna!
Bo Staszek nie powraca.

— „Zapomniał o mnie może,
Niewiarą mi odpłaca!
Dziewczęta w mieście hoże...
A wzrok ich, jak nóż ostry,
Serduszka chłopców rani.
Och siostry, piękne siostry,
My sobie obiecani!
Obrączkę jego noszę,
Nie rańcież mi go, proszę.
A może towarzysz
Trzymają go w swem kole?
Nie wraca i nie pisze,
Nieczuły na me bole.
Dwóch z serca słów — dla serca —
Nie przysłał do tej pory:
Zapomniał! przeniewierca!
Ja całe dni, wieczory,
Ja myślę o poranku
O tobie, mój kochanku,
O tobie marzę we śnie —
Ty milczysz! jakżeś srogi!
Czy godzi się mój drogi,
Zabijać mnie tak wcześniej?”

Tęskniło dziewczę młode —
A Staszek?... Staszek zmężniał,
I duchem tak spotężniał,
Że patrzył, jak w pogodę,
Bez trwogi w burzę losów,
Wyzywał piekło ciosów.
Do nieba mknął przez wiarę,
Sokołem wzbił się w górę,
Na gromów wsiadłszy chmurę,
Obleciał kresy stare,
Ogarnął skrzydłem ducha
Tę ziemię nieszczęśliwą,
I wplótł się, jak ogniwo,
Uczuciem do łańcucha,
Co świat ten miał z posady
Na nowe popchnąć ślady.

Wyleciał orzeł z gniazda,
I ujrzał gwiazdę drugą;
Błyszczała bladą smugą
Wśród łądów łzawa gwiazda.
Chcąc rozdać ją w płomienie,
Skrzydłami bił powietrze;
Choć siła siłę zetrze,
Skry jednej obudzenie
Nie marną w życiu pracą:
Iskierkę wiatr rozdmuchnie,
Wyleci w czasie racą,

Płomieniem w niebo buchnie.
W tej wierze chłopiec młody
Na morze pchnął zawiei
Łódź życia i nadziei,
Niepomny na zawody.
Rozwinął żagle duszy,
Bandereę zatknął czarną,
I pieśnią grzmiąc ofiarną
W głębokiej świata głuszy,
Wsiadł z uczuć swych ładunkiem,
I z pierwszym pocałunkiem.

Stanisław w sercu czysty,
Marylce swojej stały,
Pokochał kraj ojczysty,
Poświęcił mu się cały:
Wiała nań balsamiczna
Woń z jego pól kobierca;
Wyrosła w nim przesłiczna
Lilijka jego serca.
Och! tęsknił za nią Staszek,
Jak za swą ptaszka ptaszek.
Dlaczegoż jej nie słucha?
Nie zleci na godzinkę,
Choć spojrzeć na dziewczynkę,
I szepnąć co do ucha?
Czy nie wie, że dziewczyna
Od roku i pół roku
Ze łzami go wspomina,
Wygląda ze łzą w oku?
Dlaczegoż powrót zwłoczy?
Nie cierpi serce zwłoki,
Jak smutku płoche oczy —
A potok i z opoki
Stawiane kruszy tamy.
Jakaż go siła trzyma?
Otwarte szczęścia bramy,
A jego nie ma, nie ma.

III.

Pod oknem, przy krosienkach,
Robótką zatrudniona,
Siedziała narzeczona;
A w duszy jej okienkach
Błyszczały dwie kropelki,
Dwie perły łzawej rosy;
Bo w sercu smutek wielki,
Bo myśli, jako osy
Natrętne, brzęczą, grają,
I ranią Laszkę hożą,
Jak mary trapią, trwożą,
Odegnąć się nie dają.

Robótką nie szła sporo,
A dawno rozpoczęta;
Utkwione w nią oczęta,
Lecz mylnie rączki biorą:
Gdzie jasny miał być kwiatek,
Tam ciemny wyrósł płatek,
Na miejscu światła — cienie.
Spostrzegła się haftarka,
Spłonęła jak ofiarka
Na takie roztargnienie.
Więc spruła do niteczki,
Bez żalu i bez sprzeczeki.

Widząc to ojciec stary,
Z uśmiechem rzecze do niej:
„Marylka godna kary,
Marylka moja goni
Myślami gdzieś wysoko,
Nie widzi swej robótki —
Czy wzrok ma taki krótki?
Gdzie dusza tam i oko.“

Dziewczynka, jak sarneczka,
Skoczyła do tateczka.
— „Tateczku! drogi tatku!“
Ze łzami się odzywa,
„Ja bardzo nieszczęśliwa!“

A ojciec: „Gdy o kwiatku
Motylek zapomina,
Płochego niech motylka
Lilijka nie zaklina.
Rozumie mnie Marylka?“

— „Zapomnieć!“ jęknie Laszka,
„Nie łatwa to robota;
Bo miłość nie igraszka;
Jak burza sercem miota,
Do końca szaleć lubi,
I zbawi albo zgubi.
Zapomni dusza płocho;
Stalona, cicha w bolu,
Usycha jak kwiat w polu;
Raz tylko serce kocha,
Raz garnie się do świata;
A gdy niem świat pomiata,
Ucieka z tego dworu
Obłudy w inne światy —
Nie dla mnie ziemskie kwiaty,
Ja... pójdę... do klasztoru!“

I rzewnie zapłakała.
— „Lżej sercu“ ojciec rzecze,
Gdy z oka łezka ciecze,
Płacz sobie moja mała.
Z łez pokój nam wykwita...
Za kratą z łzami kwita.“

I spojrzął w oczy córki;
Wzrok czuły ją ocucił,
Rozprószył z czoła chmurki,
I uśmiech złoty wrócił.
— „Dość tego, praca próżna“ —
Powstając, rzekł do siebie —
„Skrę zążęgi ojciec w niebie,
Zagasić jej nie można.“

Otworzył razem biórko,
Wziął kilka listów z zbioru,
„Niedobra, rzecze, córko,
Nim wstąpisz do klasztoru,
Na długie rozmyślanie,
Przeczytaj te litanie.“

— „To jego ręka“, woła
Spojrzawszy, młoda Laszka —
„To listy mego Staszka!“
I strzelił promień z czoła,
I oblał jej oblicze.
Skoczyła jak wiewiórka
Do ojca szczęsna córka —
A łono gra dziewicze,
A oczy promienieją
Miłością i nadzieją.“

IV.

— „Majorze! — rzekł ojciec młodzieńca —
„Czy chłopcu dziewczeczka sądzona?“

— „Ha, wzdycha do swego patrona,
Hoduje kwiatuszki do wieńca.
Powiem ci, mój mości sąsiedzie;
Źle pono kampania się wiedzie.“

— „Czas jeszcze, rok z górą, majorze!
Czyś stracił nadzieję?.. za katy!
Dlaczegoż trwasz stale w uporze?
Ot, lepiej się poddaj bez straty.“

— „I mego zwycięstwa nie pragnę —
Rzekł major — nad szczęście dziecięcia;
Dziewczyna, sąsiedzie do wzięcia,
Do takiej się straty ja nagnę;
Lecz wiedzieć, przekonać się muszę,
Bom ojciec, za kogo i komu

Pociechę jedyną dam z domu:
Ząb za ząb, a dusza za duszę.
Że chłopcu podobał się kwiatek,
Nie przeczę, lecz chłopiec czy statek?“

— „Wszak widzisz, majorze, sam przecie,
Że Staszek nie ostygł w zapale,
Że kocha bogdanę swą stale;
Choć wolny, jak ptaszek, na świecie.
Nie złudne, nie marne, co z ducha —
Ma serce, i wierzy i słucha.“

— „Trzy latam przeznaczył na próbę“ —
Rzekł major — „do końca nie blisko,
Na drodze żywota tak ślisko!
Minuta przynosi nam zgubę.
Jak z tego, co pisze, dochodzę,
Na ślizkiej Stanisław jest drodze.“

— „Do czego to zmierza majorze?“

— „Wre w piersiach młodzieży i gore,
Bo młodość burzliwa jak morze,
A serce do ofiar zbyt skore.
Młódź czuje, do lotu się zrywa,
W odmęty się rzuca bezdenne,
I piekło gromami brzemienne
Do walki olbrzymiej wyzywa.
Duch czarny zastawia swe sieci,
A młodzież niebaczna w nie leci!
Więc mości sąsiedzie mój luby,
Ratować latawca nam trzeba,
By sęp go nie porwał z pod nieba:
Jam gotów odstąpić od próby.
Niech wraca, do ojca, na pole,
Przytniemy skrzydełka sokole.“

Tak rozmawiali dwaj ojcowie —
A kto ich słuchał ze słuchaczy,
Niejedno sobie wytłumaczy,
Na wiele pytań sam odpowie.

Z woli majora w świat wysłany
Staszek od boku swej dziewczicy,
Za jego zgodą powołany,
Wrócił do domu ze stolicy.

V.

Spokojny dwór majora,
I głuchy przez lat wiele,
Rozruszał się od wczora,
Odmłodniał na wesele,
Na gody odżył panny...
I odżył duch w majorze.

Niezwykły, nieustanny
Ruch we wsi i we dworze.
Z różnych stron goście jadą,
Marylkę družki stroją,
Na głowę wianek kładą.
O szczęściu marzą, roją,
Piosenki nucą rzewne,
Bo szczęście tak zwodnicze,
Tak złudne i niepewne!
Ukaże swe oblicze,
Ukaże się w promieniach,
I znika jak pogoda.
Szczęśliwa panna młoda
W ułudzie i w rojeniach.
Nadzieja jej przyświeca
U kresu złotych marzeń;
O miedzę, pełna zdarzeń,
Graniczy szachownica.
Kto wstąpił na to pole,
Niech wiele nie pożąda,
Za siebie nie spogląda:
Znośniejsze będą bole.
Tu kłosa zbierać trzeba,
Nie kwiatów złotych wiązeki;
Tu twarde obowiązki
Święcona rodzi gleba.

Szczęśliwa panna młoda,
Promienna jak pogoda.
Na ustach uśmiech złoty,
Jak motyl gra uroczy,
Radością błyszczą oczy,
Wśród żalu i tęsknoty.
Drży serce, ale wierzy,
Że Bóg je opuklerzy.

W dzień ślubu, w dzień wesela
Dusza się rozaniela.
Wielki to dzień i błogi.
Dziewica wniebowzięta
Plecione z kwiatów pęta,
Barwione widzi drogi.
Z niewoli takiej rada,
Jarzmo na siebie wkłada,
Jarzmo, jak Zakon boski,
Nieciężkie do noszenia,
Gdy miłość słodzi troski,
Nadzieja opromienia;
Gdy wiara opuklerza,
I tęcza łśni przymierza.

Na sali zgromadzeni
Czekali goście wszyscy,

Znajomi, krewni bliscy,
Na gody zaproszeni.
Swatowie, druhny, družby,
Weselne pełnią służby.
Pan młody w druhów gronie,
Jak wiosna urodziwy,
Jutrzenki wdziękiem płonie;
Pogodny, bo szczęśliwy.
Czyż niczem dla młodzieńca
Młodości bystra rzeka?
Swoboda? — że dla wieńca
Bez żalu jej się zrzeka?
Czy serce, uścisk młodzi,
Dziewczyna wynagrodzi?
Młodości towarzyszy,
Farysy żegna ducha;
Czy miłszą pieśń dla ucha
Od pieśni ich usłyszysz?
Od pieśni, co do lotu
Z orłami porywały,
I w duszy chórem brzmiały
Bożego kołowrotu?
Żałośnym jękiem pieśni
Żegnają go rówieśni:

Hej! Farysie, dla pieszczoty,
Za słowiczny śpiew,
Drzesz na szmaty sztandar złoty,
Zwijasz hyże ducha loty
Do snu w cieniu drzew.

Gdzie się głogi, ciernie rodzą,
Tyś zapragnął róż!
Nasze drogi się rozchodzą,
Góry, głębie nas przegrodzą;
Dalecyśmy już.

Twój ubity szlak bieje,
Nasz czarny jak bór,
Tu ofiary, tam nadzieje,
Tam pogoda, tu zawieje,
Szum gromowych chmur.

Szczęście, rajskie to bezdroże,
I ułudny kwiat;
Na twej drodze szczęść ci Boże!
Niech ci w życiu kwitną róże,
I nie rani świat.

Pij roskosze z ust hurysy,
I śnij złote sny;
Nie spłoszymy was Farysy,

Lecz wśród ludzi są tygrysy

I okrutne lwy.

W jasne szczęścia patrząc słońce,
Wspomnij sobie step,
I Farysy, stepu gońce,
Co go mierzą z końców w końce,
Grzmiąc pod nieba sklep.

Na stepie się nie spotkamy,
Nie zajrzysz w nasz dom;
Więc cię pieśnią dziś żegnamy,
Jak uragan rwący tamy,
Rozgłośną jak grom.

Szczęście, rajskie to bezdroże,
I ułudny kwiat;
Na twej drodze szczęść ci Boże!
Niech ci w życiu kwitną róże,
I nie rani świat.

Spiew ustał — weszła młoda,
Promienna jak pogoda.
Na ustach uśmiech złoty,
Jak motyl gra uroczy,
Radością błyszczą oczy,
Wśród żalu i tęsknoty.

— „Ach! jaka ładna, ładna!“ —
Młódź szepce zachwycona.
— „Posażna i przykładna“ —
Poprawia druga strona —
— „Dwie rzeczy to do rzeczy.“

Tak mówią, nikt nie przeczy.

Pewniejsza zapomoga,
Niż hojne w złocie datki,
Błogosławieństwo Boga,
Z rąk ojca, z ręki matki.
Szczęśliwa młoda para
Upada na kolano,
O boże prosi wiano,
O święty dar się stara.
Ojcowie, krewni bliscy
Czulą się, w sercu łzawią,
Wszyscy ich błogosławia,
Do ślubu wiodą wszyscy
I z gości i z czeladzi,
Cała wieś ich prowadzi.

VI.

Staszek z Marylką na stopniu ołtarza,
Przed Matki Boskiej cudownym obrazem,
Uklękli razem, i dusze ich razem,
Jak poruszone struny przez harfiarza,
W jedno się brzmienie, w jeden akord złąły,
I jedną prośbą do nieba wzleciały.
W cichej modlitwie, w duchowym posłuchu,
Proszą oboje, by drogę żywota,
Na której krzyżów wyrasta Golgota,
Przebiegli czyści, niezłamani w duchu;
O łaskę proszą, która gdy w nas wschodzi,
Wiara i miłość i nadzieję rodzi.

Marylka wzniosła oczy do obrazu
Najświętszej Panny, czy bożem skinieniem,
Czy nie ostrzeże jej świętem spojrzeniem.
I zdało jej się, że pełen wyrazu
Wzrok utopiła w nią Bogarodzica;
Ale spojrzenie było takie rzewne,
Że się ścisnęło serce, złego pewne,
I łzy oblały panny młodej lica.

Ucichło naraz wiernych zgromadzenie,
Akt się rozpoczął, kapłan czyta z księgi,
Pobłogosławił, zamienił pierścienie,
Związanych stułą wezwał do przysięgi.
„Ciebie wybrałem i biorę za żonę.“
A przez kapłana słowa wyrzeczone
Staszek powtarza; po każdym wyrazie
Ścisła jej rękę, do piersi przykładą;
Ona mu wzrokiem anielskim w obrazie
I uderzeniem serca odpowiada.

W tem przed kościołem ozwały się krzyki;
Przez święte progi, do Pańskiego stołu
Przypadły dzikie cara najemniki.
Zadrżeli starzy i młodzi pospołu:
Biada, gdzie tacy druzbowie się zjawią!
Dowódca zbrojnych na środek kościoła
Wystąpił z mieczem, i groźno zawoła:
— „Stój księżel! śluby złego nie naprawią;
Buntowszczyk! z myślą szaloną się nosi,
Przeciw carowi krucyatę głosi.
Pójdź krzyżowniku, zmierz się z hosudarem!
Ty, panno, w tążę za swym oblubieńcem
Czekaj, aż wróci ozdobiony wieńcem,
Z tym samym w piersiach niestłumionym żarem.“

Rzekł i na sługi zbrojnym skinął czołem,
Ci Stanisława wkoło otoczyli

I wyszli z więźniem — a po krótkiej chwili
Wrogi zadzwonił dzwonek za kościołem;
Jęk przy cudownym rozległ się obrazie.
Serce odgadnie, ucho się dopyta,
Czyja to jękała pierś, bolem przeszyta:
Staszek bez wieści przepadł na Kaukazie.

VII.

Prosta osnowa, prosta mowa —
Chciwys nauki czytelniku?
Nie ma jej w lirze i w lirniku:
W grobie się echo jęku chowa.
Lira nie jęczy dla rozumu,
Dla uczonego nie gra tłumy.
Lirnik nie uczy, ino spiewa,
O tem co boli, co dolega;
Z ściśniętą piersią kraj obiega,

Łzami z pod serca ziemię zlewa.
Dość, gdy łzę w oku zażędz zdoła,
I zbudzi jękiem swym sokoła.

Z martyrologii młodzieniaszków
Wzięty podałem wam obrazek,
Małą skazkę z tylu skazek
O katowaniu na śmierć Laszków.
I w ciasnych ramkach przypowieści
Wiele się mieści żywej treści.

Gdy młode serca ją usłyszą,
Same rozszerzą dla niej ramę,
I uzupełnią, skończą same,
Ach! bo krwią własną dzieje piszą.
Dalekiż koniec tych turniejów?
Wie to odwieczny pisarz dziejów.

J. Z.

Architektura u ptaków.

Pracowitość ptaków w znoszeniu materiałów do zbudowania gniazda potrzebnych, i sztuka, z jaką tę budowę wykończają, powszechnie jest znaną i podziwianą. Kształt, styl i materiały, używane na robienie gniazd, tak są rozmaite, iż ptaki możemy podzielić na tyleż kategorii, ile posiadamy rzemiosł. Jedni budują, drudzy tkają, trzeci murują, czwarcy robią gniazda z ziemi. Wobec naszych pomników, wobec piramid faraonów, gniazdko jest tylko punktem w przestrzeni, lecz praca wyrosnie w oczach naszych przy porównaniu słabości robotnika do wielkości jego dzieła; bo niektórzy z naszych powietrznych architektów dla wybudowania gniazd swoich w kilka miesięcy mogą znieść więcej ziemi, niż człowiek w ciągu całego życia, jeżeli porównamy siłę jego z siłami ptaszęcia. Miłość macierzyńska zdobywa się na dowcip zdumiewający do najwyższego stopnia. Jeżeli przepiórki i kuropatwy są matkami zbyt nieostrożnymi, kładąc swe jaja wprost na ziemi i wystawiając je na niebezpieczeństwo, inne gatunki zachowują niesłychaną ostrożność dla ich zabezpieczenia. Niektóre ptaki kopią okrągłe i głębokie dołki w ziemi; sroka dla ochrony swych małych buduje prawdziwą cytadelę, do której wchodzi i wychodzi przez bardzo mały otwór, ale zamiast ziemi, ściany gniazda układa z giętkich pręcików pozlepianych ziemią, zarabianą w lipkiej ślinie, bo to lepiej chroni ich młode potomstwo od orłów i sokołów, tych powietrznych rozbójników.

Wśród mieszkańców powietrznych jest rodzaj ptaków żyjących w Patagonii, dziwny ze wszystkich względów, tyleż ryba ile ptak, i które nie trzymają się ogólnego prawa, bo nie poruczają jaj swych żadnemu gniazdu. Mając skrzydła niezdolne do lotu, żyją one wśród wiecznych lodów i wody. Samka ptaka tego nosi zwykle jedno jaje swoje w kieszonce, zrobionej z fałda skóry na piersiach; jaje to jest tak dobrze umieszczone, że ptak może skakać, padać z lodów, lecz nigdy jajka nie rozbije, a jeżeli to nieszczęście zdarzy się, samiec ciężko karze swoją połowicę. Jaje to jest tak starannie ukryte, że dla zdobycia go potrzeba stoczyć bój z matką; na krzyk jej przybiega samiec i rzuca się na napastnika z taką zaciętością, iż potrzeba go zabić, żeby się ochronić od jego szczypania.

Przyroda na każdym kroku przedstawia nadzwyczajne kontrasty. Ptaki mają także swoich pigmejczyków i swoich olbrzymów, leniwców i niezmordowanych pracowników, głupców i rozumnych, pustelników i lubiących życie rodzinne.

W krajach podzwrotnikowych, tam gdzie słońce posyła swe najgorętsze promienie, spotykamy na kwiatach błyszczące ptaszki, zwane kolibry, czyli ptak-mucha, prawdziwe brylanty żyjące, słabsze niż wiele owadów i często zjadane przez wielkie podzwrotnikowe pająki. Według obliczenia tysiąc milionów kolibri zaledwo waży tyle, ile ciało strusia. Wspomnieliśmy o strusiu, lecz ten ptak jest

nędzną i małą istotką wobec dwóch cudów ornitologii, które niedawno odkryli R. Owen i Izidor Saint-Hilaire. Jeden z nich, Dinoris z Nowej Zelandyi, którego szkielet znajduje się w londyńskim muzeum, miał ośmnaście stóp wysokości. Kość nogi człowieczej wygląda jak piórko w porównaniu z kością nogi tego kolosu. Drugi, Epiornis, który żył niegdyś na Madagaskarze, miał wzrost jeszcze większy. Jaje tego ptaka, znajdujące się w paryżkim muzeum, sześć razy jest większe niż jaje strusia; obra- chowano, iż dla napełnienia skorupy potrzebaby dwana- ście tysięcy jaj ptaka-muchy. Skorupę tę, mającą około dwóch milimetrów grubości, można rozbić tylko uderze- niem młota. Jakąż siłę musiał mieć dziób małego pisklęcia, żeby zrobić sobie w nim otwór?

Jaka też różnica w sile! Ptak mucha, ciągnąc je- zyczkiem kwiatowy nektar, zaledwo nadpsuje cokolwiek płatek koronki kwiatowej, gdy przeciwnie Wężownik, zajęty wojną z płazami, jednym tknięciem skrzydła ogłusza żółwia lub węża. Łabędź uderzeniem może złamać nogę człowiekowi; sęp napada czasami na strzelców w niebez- piecznych przejściach wśród Alp, a orzeł, porwawszy dziecko w równinach, niesie daleko w góry, żeby je tam pożreć.

Niektóre ptaki odznaczają się nadzwyczajnie sta- rannem wykończeniem budowy gniazd swoich i wrodzoną znajomością niektórych chemicznych ciał, które umieją zużytkować. Wzgórze, wzniesione ręką ludzką, zadziwia nas często ogromem pracy, która była na to użytą. Wiele rąk i wiele czasu było na to potrzeba, a jednak jeśli porównamy to ze środkami, jakie są w rozporządzeniu człowieka, wyda się nam to bardzo małą rzeczą. Ptak, zwany Megopodus, bez niczyjej pomocy, sam jeden, wy- konuje pracę tysiąc razy cięższą.

Jest to ptak wielkości naszej kuropatwy, o kolorach ciemnych, nie bijących w oczy, jak większa część ptaków Australii, tej ziemi cudów zoologicznych. Praca jednak jego i rozum zmuszają zapomnieć o smutnej postaci pracownika.

Praca robienia gniazda przez tego ptaka, do- równuje dziełom Herkulesa, w które nie uwierzyłyby nikt, gdyby tego nie potwierdzały najautentyczniejsze świadectwa. Ogromną budowę swą Megapod urządza na ziemi. Z początku znosi mnóstwo liści, gałązek i traw, następnie zbiera ziemię i drobne kamienie, któremi okłada gniazdo naokoło do takiej wysokości, iż w środku tworzy się wielkie zagłębienie, podobne do krateru małego wulkanu. Jedno z tych gniazd, które widział znany orni- tolog Gould, miało 14 stóp wysokości i 150 stóp w obwo- dzie. Stosownie do wzrostu ptaka, taka góra ma rozmiary prawdziwie cudowne i obudza zapytanie, jakim sposobem ten ptak, za pomocą dzioba tylko, który mu służy i za łopatę i do przenoszenia, mógł zebrać taką ilość mate-

ryałów. Grobowce Patroklesa i Achillesa mniej ludzi kosztowały pracy.

Po ukończeniu ogromnej swej budowli, samica znosi jaja zwykle w ilości ośmiu, które układa wkoło w środku gniazda w trawach i liściach tam nagromadzonych. Wszystkie jaja są poustawiane pionowo i na przestrzeniach zupełnie jednakowych. Po zniesieniu jaj Megapod zostawia swe dzieło i swe potomstwo, bo przyroda nauczyła go, iż dzieciom swym już nie jest potrzebnym. Posiadając cudowny instynkt chemiczny, ptak ten zebrał tyle roślin- nych materyj dla tego, żeby pod wpływem fermentacyi ich dać jajom rozwinąć się. Tym sposobem matka zwykle pielęgnowanie zamienia na postępowanie uczone. Reaumur próbował wygrzewać pisklęta z jaj kurzych za pomocą ciepła, rozwijającego się w gnoju, lecz zgniłe gazy za- bijają młode potomstwo. Megapod rozsądniejszy od zna- komitego akademika, użył fermentacyi liści i traw, która nie ma tej niedogodności.

Wszystko jest zadziwiającem w historii tego ptaka. Zamiast rodzić się nagim, lub pokrytym puchem, i wyjść z jaja słabem stworzeniem, nie mogącym obmyślić środ- ków żywienia, młody megapod, gdy przebija swą skorupę, już posiada pióra, mogące służyć mu do lotu. Zaledwo wyjdzie ze swego schronienia, oddycha powietrzem i światłem, rozgartuje liście, które go otaczają, i duszą wybiega na krawędź gniazda, suszy na słońcu swe mokre jeszcze skrzydła i próbuje je. Nakoniec, pewny swych sił, rzuca niespokojnym i ciekawym wzrokiem na pola go otaczające, podnosi się w powietrze i porzuca na zawsze swe gniazdo, bo rodząc się już umie znaleźć pokarm.

Drugi ptak Australii posiada też same przecucia instynktowne, lecz zamiast znoszenia ziemi i kamieni, znosi trawy i siano. Zowią go Telegrafem. Postać ma po- dobną do kury naszej i buduje gniazdo z trawy, którą zbiera w polu, składając ją w ogromne kopy, podobne do naszych stogów siana. Ptak używa do tego nie dzioba, lecz nogi. Zebrawszy wiązkę siana, trzyma ją w jednej nodze, skacząc do gniazda na drugiej. Gdy po nieskoń- czonych podróżach stog jest już dość wielkim, samica znosi w nim swe jaja. Wiedząc dobrze, tak jak i my, że siano schnąc rozgrzewa się, ptak ciepłu temu powierza swe potomstwo, które porzuca natychmiast po wysiedzeniu jaj. Młode Telegrafy rodzą się pokryte piórami i są już uzdolnione do odszukania sobie pokarmu natychmiast po narodzeniu. Dla tego też w kilka minut po wyjściu z jaja, rozrzuciwszy miękkie materac, na którym spoczywały tele- grafy, wylatują z gniazda.

Małe stworzeńko Lagomys, podobne do królika, w górach Syberyi, także gromadzi siano na zimę i usta- wia je w stogi, które mają czasami pięć stóp wysokości i ośm w poprzeczniku. Miejscowi mieszkańcy często ko- rzystają z tej pracy zwierzątka, używając doskonałego ich

siana do karmienia swych koni. Moznaby podobnym sposobem korzystać i z gniazd telegrafów, które gromadzą jeszcze większe stogi.

Cały rodzaj dziergaczy i sikerek zmusza do zapoznania o skromnej postawie i ubiorze swoim, gdy wglądniemy w ich prace i przykładne życie rodzinne. Wśród tych miłych gości naszych gaików, tak zwany Troglodyta buduje gniazdo pod ziemią. Sikorka długoogonowa gniazdko swe układa w mchu. W gniazdku tem, wielkości małej pięści, jest nadzwyczajnie mały otwór, przez który wsuwa się matka, przynosząca pokarm dziesięciorgu lub dwanaściorgu dzieciom. Godnem jest podziwienia, jak taka wielka ilość potomstwa może pomieścić się dogodnie w tak małym pomieszkaniu. Inna sikora z eleganckiej budowy gniazda zasługuje na większą jeszcze uwagę. Gniazdko jej, powieszzone na gałęzi drzewa, ma kształt retorty chemicznej, zrobionej z mchu i najdelikatniejszego puchu. Otwór gniazda tak dokładnie zrobiony, że żadne źdźbełko nie jest dłuższe od drugiego. Otwór ten jest tak mały, że dziwić się przychodzi, jak ptaszyna lecąc wchodzi do niego, nie pogniótlszy brzegów.

Chaty niektórych dzikich plemion bywają zawsze otwarte, bo rozum ich odziedziczony, nie nauczył potrzeby urządzania drzwi, któreby ich zasłoniły od niepogody. Pajaki są dowcipniejsze, bo między niemi, jak widzieliśmy wyżej, są takie, co umieją zamykać swe pomieszkania drzwiczkami bardzo misternie urządzonemi. Niektóre ptaszki zachowują też same ostrożności.

W dziele o ptakach Indyi, p. Jerdon opisuje ciekawy gatunek ptaków, w którym samce w epoce wysiadywania jaj mają zwyczaj więzić samkę w gniazdku. Zamykają oni otwór za pomocą grubej ścianki z błota, w której zostaje mały otwór, służący uwięzionej do oddychania i przyjęcia pokarmów, przynoszonych przez zbyt srogiego małżonka. To, uwięzienie kończy się wtedy dopiero, gdy młode pokolenie wykluje się z jaj.

Mała indyjska ptaszyna, rodzaj gila naszego (*Ploceus*), gniazdko ma kształtu butelki, zawieszzonej na gałęzi tak giętkiej, że nie może do niego zbliżyć się ani małpa, ani wąż, ani wiewiórka. Ażeby uczynić je nieprzystępniejszem dla licznych nieprzyjaciół swoich, ptaszek robi wejście do gniazda od dołu, tak, że nawet sam tylko lecąc może dostać się do niego. Robi je zaś z długich ździebeł trawy i przedziela całą przestrzeń na dwie komórki: jedną zajmuje samica wysiadująca jaja, w drugiej przebywa samiec, przyspiewując towarzysze, zajętej dopełnianiem obowiązków matki. Gdy samiec i samka wylatują na chwilę, samiec bije skrzydłem w otwór tak silnie, że zupełnie zamyka go dla ochrony potomstwa od nieprzyjaciół, którzyby mogli wkraść się do gniazda w czasie ich nieobecności.

Dość są rzadkie przykłady prawdziwego towarzy-

skiego życia pomiędzy ptakami. Znany jest wszakże gatunek ptaszka, żyjącego na przylądku Dobrej Nadziei, zwanego republikaninem, który ściele sobie gniazdo wspólne całej gromadzie. Gniazdo tego ptaka, bardzo podobnego do naszego wróbla, wygląda jak dach okrągły, otaczający pień jakiego wielkiego drzewa. Można w niem naliczyć czasami około trzechset komórek, co wskazuje, że tam mieszka najmniej sześćset ptaszek. Gniazdo to jest tak ciężkie, że Lavaillant, który je znalazł w podróży swej po Afryce, musiał użyć wozu i kilkunastu ludzi, żeby je przewieźć.

Już powiedzieliśmy, iż wśród skrzydatego ludu można znaleźć rzemieślników różnego rodzaju. Niktby nie spodziewał się znaleźć między niemi doskonałych szwaczek, bo dziób ptasi wydaje się bardzo nieodpowiednim do robót igielkowych, a jednak tak jest. Krawczyk (*Sylvia sutoria*), ptaszek krajów wschodnich, podobny do naszych pokrzywek, za pomocą dzióbka i nóg skręca nić z bawełny, na krzewie bawełnowym zebranej, i zszywa nią kilka lancowatych liści, następnie samka napęnia bawełną ten rodzaj woręczka i składa na tem miękkim łożu jaja swoje. Gniazdko to, które bardzo rzadko można znaleźć, jest prawdziwem arcydziełem zmyślności.

Wilga, w naszym klimacie, używa podobnegoż sposobu przy budowie, tylko gniazdko swe przyszywa nie między liście, ale w rozdwojenie gałęzi, używając do tego kawałka sznurka, lub nitki, skradzionej w bliskim pomieszkaniu ludzkim, tak, iż możnaby się zapytać, jak ona to robiła poprzednio, kiedy jeszcze nie wynaleziono nitki i sznurków.

Tej pracowitości, tej niezmordowanej czynności ptaków, przeciwstawimy wrodzone lenistwo i wrodzone okrucieństwo kukułki. Ta dzika mieszkanka naszych lasów nie chce budować gniazda, ani siedzieć na jajach, ani karmić swego potomstwa. Kładzie ona swe jaja w cudze tylko gniazda i zwykle rodzajów daleko mniejszych od siebie, powierzając wysiadywanie ich obcym karmicielom. Najsłynniejsi przyrodnicy starożytni i czasów nowszych, jak Arystokles, Pliniusz, Linneusz zauważali już, że kukułka postępuje w ten sposób, lecz nie wiedziano, jak to ona robi. Otóż słynny naturalista Lavaillant, polując w Afryce, zabił kukułkę i w dzióbku jej znalazł jaje, które w ten sposób przenosiła; murzyn przewodnik upewniał, że często zdarzało mu się widzieć, jak kukułka trafiona w lot strzałem, z dzióbka swego wypuszczała jaje na ziemię. Kukułka każde z dwóch jaj, które znosi corocznie, kładzie do gniazd pliszek, poświczek, drozdów lub jakiegokolwiek owadożerczego ptaka, używającego dla dzieci pokarmów, które i dla młodych kukułek są odpowiednie. Rzecz szczególniejsza: wysiadywaczka staje się dla tych podrzutków matką czułą i niezmordowaną, lubo one ją pozbawiają własnego potomstwa. Podług zdania

niektórych badaczy przyrody, stare kukułki niszczą jaja znalezione w gnieździe, któremu swoje powierzają; ale inni badacze zapewniają, że młoda kukułka sama je wyrzuca z gniazda, albo wypędza dzieci, skoro się narodzą, miejsce ich przywłaszczając sobie. Znakomity Jenner, lekarz angielski, któremu odkrycie ospy krowiej winni jesteśmy, widział nieraz sposób, którym ten podrzutek pozbywa się słabych towarzyszków swoich. Młoda kukułka wsuwa się pod jednego z małych ptaszków, których kolebkę podziela, i wkrótce ma go na grzbiecie, przytrzymując go tam skrzydełkami, a potem przysunawszy się tyłem do brzegu gniazda, wyrzuca go na ziemię; następnie czyni toż samo z drugim i z trzecim, dopóki nie zostanie panią całego mieszkania. Ten rabuś wykazuje nadzwyczajną energią i wytrwałość w spełnianiu tego dzieła zniszczenia. Pułkownik Monteki widział młodą kukułkę, w ciągu czterech dni z rzędu wyrzucającą młodą jaskółkę, zaledwo wylęglą, którą nieustannie kładziono napowrót do gniazda. Ponieważ pliszki niosą do dwunastu jaj, więc rachunek prosty, że dla wyhodowania dwóch swoich dziątek, kukułka poświęca życie dwudziestu czterech małych ptaszków. Nie znamy dobrze przyczyny, skłaniającej kukułki do powierzania innym ptakom starań wysiadywania. Widziano nieraz, jak się zatrzymują parami w bliskości miejsca, w którym jaja złożyły, a dzieci ich już do latania zdadne opuszczają pierwiastkowe karmicielki swoje i rozweselają swych naturalnych rodziców, biorących się do dalszego ich wychowania. Dla tego też w Niemczech kukułki stały się godłem niewdzięczności.

Zwróćmy uwagę na jedną jeszcze okoliczność, dowodzącą, iż ptaki przy wysiadywaniu jaj kierują się nie jedynie wrodzonym popędem, ale i pewnego rodzaju rozmysłem. Strusie na przykład, gdy mieszkają w umiarkowanym klimacie, wysiadują jaja, w Afryce zaś zostawiają wylęzenie ich ciepłu słonecznemu. Dowiedziono także, iż częstokroć kilka tych wielkich ptaków w jeden dołek jaja znoszą i wyręczają się kolejno w obowiązku ich wysiadywania.

Miłość macierzyńska, jak widzieliśmy, sprawia cuda, i o niczem nie zapomina dla szczęścia i bezpieczeństwa swego potomstwa. Są jednak ptaki, które urządzają swe gniazda nietylko dogodnie, lecz i z niesłychanym przepychem i elegancją, otaczając je altankami, robiąc drożki naznaczone do przechadzki, do zabawy i do miłośnych schadzek.

Najciekawszym z tych ptaków jest Chlamydera centkowana, bardzo podobna do naszego jarząbka, różniąca się od niego ciemniejszym pierzem nakrapianem i szyją upiękowaną różowym, ładnym pierścieniem. Para zwykle umieszcza swe gniazdko w miejscu otwartym, żeby mózdz cieszyc się słońcem i światłem. Pierwszą ich pracą jest urządzenie murowanej drożynki za pomocą okrągłych,

prawie równej wielkości kamyków; gdy szerokość i długość tej drogi wydaje się jej dostateczną, ptaszki zaczynają urządzać aleję z gałęzi. Na ten cel przynoszą z lasu młode latorośle, zgrabnie dzióbkiem ścięte, i wsadzają bardzo mocno grubym końcem w przedziałki między kamieniami; dwa rzędy gałązek, zupełnie równoległe i schylające się jeden ku drugiemu, tworzą rodzaj krytej alei. Budowa ta wynosi zwykle około metra w długości; szerokość alei jest taka, iż dwaj kochankowie mogą się przechadzać obok pod cieniem gałązek. Po urządzeniu tego gajku, kochankowie zaczynają go upiększać. W tym celu latają na wszystkie strony i znoszą przedmioty błyszczące, które znajdują gdziekolwiek, dla upiększenia wejścia do ładnego tego ustronia. Muszle błyszczące są szczególnie poszukiwane przez nie i stanowią ozdobę wejścia do alei. Gdy ci zbieracze błyskotek znajdują gdzie kolorowe pióra ptaków, wieszają je na zwiedłych gałązkach miłośnej alei. Można być pewnym, że wszystkie drobne błyszczące przedmioty, znalezione na ziemi, pewno natychmiast będą zdjęte i odniesione do gniazda. Gould opowiada, że w okolicach, gdzie te ptaki budują swe mieszkania, jeżeli jaki podróżny straci zegarek, nóż lub pieczętkę, napróżnoby szukał tam, gdzie je stracił, ale zato znaleźć je może koło miejsca przechadzki tych ptaków. Odkrycie tego gajku kochanków było tak niespodzianą rzeczą, że Gould obawiając się, że w Europie opowiadanie jego będzie przyjęte z niedowierzaniem, kazał cały kawałek ziemi, na której znajdowała się ta szczególna budowa, ostrożnie pomieścić w blaszanej wielkiej skrzynce, którą można dziś widzieć w Brytańskim muzeum w Londynie.

Gdy poznano pracę, chciano poznać pracownika i przywieziono go do londyńskiego botanicznego ogrodu. Umieszczono go w wielkiej sali, gdzie ptak mógł znaleźć wszystkie materiały do swojej roboty; lecz biedny więzień nie miał ochoty do niej, bo powietrza i słońca ojczyzny mu brakło, a z nimi brakło energii; zaledwo kilka gałązek posadził wśród zebranych przez siebie kamyczków, a potem rzucił robotę.

Opowiadano bardzo wiele rzeczy ciekawych, lecz nie koniecznie sprawiedliwych o modnej architekturze ptaków. Wymysł zastąpił miejsce prawdy, a jednak ta ostatnia daleko jest ciekawszą, niż bajki, któremi starano się ją zastąpić.

W starych dziełach przyrodniczych znajdziemy opowiadania, że pierzga robi gniazdo z traw splecionych i zawiesza je na trzcinie wodnej; że gniazdko to pływa na powierzchni wody, spuszcza się lub podejmuje według stanu wody, żeby zabezpieczyć młode pokolenie od zatonięcia. Prawda, że gniazdko pierzgi jest nadzwyczaj miernie zbudowane, ale to i wszystko. Gniazdo, zrobione z traw zgrabnie splecionych, ptaszek zawiesza na wierz-

chołku trzech trzciny, i tu kołysany wiatrem, znosi swe jaja. Lecz gniazdko to nie może ani podnieść się, ani spuścić się po trzcinach, a gdyby i mogło, to utonęłoby, bo pływać nie może.

Wszyscy autorowie starożytności opowiadają o pływającym gniazdku zimorodka czyli Alcyony piękną bajeczkę. W czasie, gdy konstellacya Plejady zachodzi za horyzont, ten ptak w burzy miał budować gniazdko swoje. Wtedy to właśnie morze ucichało i wiatr ustawał, żeby nie przeszkadzać spełnieniu aktu rozplodzenia Alcyony. Miały to być owe piękne dni, w czasie zimowego zrównania dnia z nocą, które starożytni przezwali dniami Alcyony. „Gniazdko te są godne podziwienia, mówi Pliniusz; mają one kształt kuli, a podobne do wielkiej gąbki: niepodobna ich przeciąć żelazem, lecz przy mocnem uderzeniu pękają; zdaje się, iż zrobione są z kości rybich splecionych“. Widać z tego, że filozof starożytności miał skrupy jeża morskiego za gniazdo Alcyony.

Dziś przekonano się, że ten ptak starożytności składa jaja na brzegu morza wśród traw; ale są wodne ptaki, które robią gniazdko w podobny sposób, jak podanie starożytne zmyśliło. Są to nurki wodne z oddziału pletwonogich. Ptaki te niosą swe jaja na prawdziwych trawach, które pływają po powierzchni wody naszych jezior i stawów. Są one splecione z grubych traw wodnych. Trawy te zawierają znaczną ilość powietrza, i dla tego będąc lżejsze od wody, pływają na niej. Na tym improwizowanym okręcie samka niesie jaja i wysiaduje młode potomstwo. W wypadku niebezpieczeństwa ptak zanurza jedną nogę do wody i wiosłując nią przenosi się z gniazdem w inne strony.

Podróźni przyplwający na morze południowe spotykają często ogromne stada bezłotków, siedzących na brzegach. Ptaki te z organizacyi i zwyczajów podobne są do ryb. Skrzydła ich — to prawdziwe pletwy, nie mogące służyć do lotu, a nogi osadzone bardzo daleko na tyle, sprzyjają pływaniu, lecz chód utrudniają bardzo. Nie mogąc podnieść się w powietrze i nie mogąc biegać,

biedne stworzenia potykają się i padają ciągle, skoro są przestraszone; marynarze polują na nie kijami, zabijając masami leżące na ziemi. Lecz scena się zmienia natychmiast, jak skoro bezłotki te dościgły wody. Rzucają się do niej ze skał stromych, zanurzają się i pływają z taką szybkością, jak wielkie ryby; karmią się zaś małemi rybkami. Siedząc na swych ogonach na brzegu morza stadami, ptaki te mające białe piersi i brzuch, a grzbiet, głowę i kaptur czarne, wyglądają jak niektóre zakony religijne, do których przyrównują ich marynarze.

Znakomici pływacze owi, nie mogąc robić gniazd swych na drzewach ani na morzu, muszą je urządzać na brzegu, kopiąc głębokie dołki w ziemi na wyspach bezludnych i mało uczęszczanych. Kopią ziemię zapomocą dzioba i nóg, dając swemu gniazdu głębokość wynoszącą do trzech stóp. Wnętrze gniazda zupełnie podobne do pieca, w którym węgle wypalają; wejście do gniazda jest tak wąskie, że ptak zaledwo przecisnąć się może. Z jam tych idą w różnych kierunkach galerye wśród traw, które tworzą nad nimi sklepienia. Brzegi niektóre są temi kryjówkami tak podminowane, że marynarze zapadają w jamy; ptak napada zaś na nieprzyjaciela, szczypie go i rani, i niejednemu opłacił bardzo niebezpiecznem zranieniem nóg to, że wlażł w cudzą posiadłość.

Jaskółki i wróble amerykańskie budują gniazda swe z ziemi; są to prawdziwi murarze. Rodzaj przepiórki, zwanej piekarzem, buduje gniazda z błota w rozdwojeniu gałęzi drzew, i gniazda te mają czasami do ośmiu cali w średnicy, a ważą do czterech funtów. Ileż to razy ten ptak musi wlatywać na wierzchołek drzewa z ziemią, którą niesie w dzióbku, żeby zbudować taki ogrom!

Księżę Karol Bonaparte odkrył rodzaj sowy, która należy także do kategorii kopaczy; mieszka na brzegach Missisipi i chowa się w jaskiniach, mających kilka sążni głębokości. Dają jej nazwę sowa-górnik; chociaż ptak ten często sam sobie kopie ukrycie, ale częściej jeszcze załazi w gniazda bobaków, w których znajdują go z nimi razem, albo z różnemi jaszczurkami i grzechotnikami.

F I O Ł K I.

NOWELLA.

NAPISAE

WŁADYSŁAW SZANSER (Ordon.)

(C I A G D A L S Z Y)

II.

W domku Pietra w ogrodzie, było gwaro. Trzy czy cztery sąsiadki zasiadły wraz ze starą Bettiną na długiej ławie pod ścianą; Beppo, położywszy się na środku izby, na słonecznem miejscu, drażnił kudłatego brysia, jak on

spragnionego słońca i spokoju. Giacomo stał w niemej kontemplacyi przed złotą piramidą melonów, złożonych w kacie i wziętych w obłężenie przez wojsko niezliczone mrówek. Z rozdętych rokosznie jego nozdrzów i warg machinalnie wysuniętych naprzód znać było, że myślą smakuje i wąż

cha zakazane owoce; na progu, przy otwartych drzwiach na ogród, stary Pietro, rozglądając się zadowolonym wzrokiem po ścianach izby, na których wisiały w woreczkach i koszykach nasiona roślin i kwiatów, grona cybulek tulipanowych, snopy makówek, roniących tu i ówdzie czarne ziarnka — rozmawiał żywo z przygarbionym rybakim Pescarem. Przed tym ostatnim stała wanienska pełna ryb, które pluszcząc się, co chwila srebrną łuską błyskały. Rybak spoglądał z pociechą na ten owoc ostatniego połowu...

— Dzięki Bogu! — mówił jakby w dalszym ciągu Pietro... Milord wyborny dziś obiad mieć będzie... Betta! nie daj rybom zasnąć!.. Ale co tam... jemu wszystko jedno, co jeść będzie! Gdybym mu Lewiatana dał w sosie wody morskiej, aniby się spostrzegł na tem...

— Zawsze więc jednakowo smutny? — przerwała znajoma już nam, właścicielka osiołka, Catalina...

— Smutny?.. Powiedźcie raczej dziki, jak królik... Dałibóg, nie mogę się pochwalić, żebym znał dobrze twarz jego Jak księżyc w chmurną noc, ledwo nos pokaże, chowa się...

— Czy pewni tylko jesteście, że ma nos — zapytała żywo druga sąsiadka — we wsi mówią...

— Mówią, co im ślina do gęby przyniesie! Czy ma nos? Ba, i jaki jeszcze! Nigdy piękniejszy nos nie wahał piękniejszych kwiatów...

— Jeżeli mówisz o swoich kwiatach — mruknęła Bettina — to dałibóg chyba one same siebie wachają!.. Takie piękne róże, takie pyszne malwy! Ani się popatrzy, ani się obróci...

— Co prawda, to prawda!.. Jedne fiołki tylko mają u niego łaskę.. Nie ma miejsca, gdzieby ich nie włożył.. Całe bukiety codziennie mu wiąże. Już mi zabrakło pełnych, i od starego Pescara, z ogródka jego córki, dostawać ich muszę, a i tak jeszcze ten przeklęty mały heretyk jego spokoju mi nie daje...

— Powiadają, że w tym kraju za morzem są całe miasta pełne takich maleńkich ludzi...

— Już co maleńki to maleńki — odparła Bettina — i gęba w proporcji! Chwalić Boga, nie jednego ja do gadania przymusiła, a z niego słówka wydobyć nie mogę...

— I nie próbuj! — zawołał groźnie Pietro... Raz ci już odpowiedział, że mu za gadanie nie płacą... a zresztą choćby papłotał, jak młyńskie koło, to i tak jeszcze żaden poczciwy chrześcianin połamanego jego szwargotu nie zrozumie...

— Już ja się tam z nim rozmówię — wmieszał się Giacomo od melonów — ile razy przyniosę gazety i listy z miasta, niesłychanie wyraźny głos mu z kieszeni wychodzi...

— Taki hojny? — zapytała ciekawie Catalina...

— Bah!... co to u niego znaczy! Milord nie żałuje złota... gdyby chciał, monstrancją z wielkiego ołtarza

w Katedrze by kupił — odpowiedział z przeświadczeniem Giacomo...

— Ale zdrowia nie kupi — mruknęła nawpół litościwie, nawpół sentencyjnie Bettina, i wstała oprawiać ryby... Nieraz w nocy, kiedy wyjdę zobaczyć, na co pies szczeka, widzę go, jak siedzi biały, jak opłatek, przy lampie... Czasami jęknie, aż dreszcz przejdzie po skórze, za okno się wychyli, jakby czegoś szukał; i takim kaszlem się zaniesie, jakby miał duszę wyrzucić. Słychać potem, jak ciężko dyszy, aż płomień lampy się chwieje, a czarne oczy jego świecą się gorączkowo z twarzy, jak ognisko na śniegu...

— Jak u mojej nieboszczki — szepnął cicho od progu Pescaro.

— Boże uchowaj! — przeżegnały się nabożnie sąsiadki...

— Eh! sąsiadki! — mówił dalej jak do siebie Pescaro — ciężki to dopust boży! Jak człowiek wspomni o takiej powolnej, a niechybnej śmierci, patrząc na niebo nasze, pomarańcze takie wonne, na ziemię taką piękną, dusza w nim rzuca się i lęka!.. Kto nie widział bożego stworzenia, gasnącego przy sobie powoli w ten sposób, ten śmierci i boleści nie widział!

Przez chwilę głęboka nastąpiła cisza...

Słońce schyliło się ku zachodowi. Czerwona luna wpadała do izby. Przez otwarte okienko dochodził poieszany zapach kwiatów i oddalone głosy ludzkie, brzęk dzwonka na szyi prowadzycy stada, zabłąkana i urwana nuta piosenki. Każdy krzak, każdy załom skały, sine pasma gór w oddali, każde źdźbło szeptało swoim językiem: spiewem ptaków, szmerem owadów, echem... Dobrze było żyć i czuć życie... Z nad Arno wznosiły się po roli miękkie, kłębiące się jak dym błękitny, — mgły, ostre i żywiący smak wilgoci, ryb świeżych i smoły od łódek nadbrzeżnych zalatywały. We wsi matki, zwołujące dzieci, odpowiadały sobie...

— Mój Boże! — rzekła powoli, pierwsza przerywając milczenie, Catalina — mieć złoto, młodość, czuć się szczęśliwym... i umierać... to bardzo ciężko być musi...

— Nie tak on bardzo czuje się szczęśliwym — odpowiedziała zniżonym głosem Bettina... Chłopcy, idźcie zobaczyć, czy mnie nie ma w cieplarni, i nie powracajcie z odpowiedzią... Bogaty to prawda, ale dla siebie: młody a sam: ani żywej duszy przy nim, ani matki... ani kochanki...

— Nikt go nie odwiedza?...

— Bah! nikogo przyjmować nie kazał... Coś tam być musi na dnie tego wszystkiego, jakaś skaza na tem szczęściu... Nie dawno, bo ledwo trzy dni temu — rzekła ciszej jeszcze i zwierając się — wieczorem nadjechała tu kareta w cztery konie.

Wszystkie kobiety skupiły się...

— Z karety wyrzał tylko jeden pan i rozmawiał z małym lokajem, ale widziałam wyraźnie, że były tam

jeszcze dwie kobiety w głąb schowane.. Młody pan nasta-
wiał widocznie, nie mogłam zrozumieć, ale pokazywał
często na okno, znać widzieć się chciał z milordem...
wyjął nawet piękny woreczek, siatkę, w której były same
złote ryby, ale malec wciąż przecząco kiwał głową... Te
panie wyraźnie się niecierpliwiły... Wreszcie odwrócił się
ów młody i powiedział wyraźnie, po naszymu, do siedzących
w karecie:

„Nie chce się z nami widzieć!..“

„Ach mój Boże!—odpowiedział na to z niecierpliwością
głos z karety, zdaje się starszej kobiety (bo były
znacznie różnego wieku) — trzeba się przez gwałt dostać
i zabrać go... ten upór nas kompromituje... Bóg wie, co
ludzie powiedzą!..“

Mowę tę przerwało ciche westchnienie młodszej..

„Fanny! — zawołał niecierpliwie ów młody mężczy-
zna. — Nie ma co wzdychać, to kwestya taktu, nie uczu-
cia...“

„Ależ on umiera podobno! — odpowiedział na to głos
młodszy, bardzo miły głos..“

„Przesada złośliwych plotkarzy“ — odparł niecierpliwie
ów pan, i wyjąwszy żywo z pięknej książeczki kartkę, od-
dał ją Wiliamowi..

Malec wahał się przez chwilę, wreszcie wziął, skłonił
się i odszedł..

Kareta odjechała pędem do Florencji..

W tem miejscu tajemniczego i ciekawego opowia-
dania Bettiny naraz dał się słyszeć dyskretny czyjś krok
przed progiem... Sąsiadki rozskoczyły się. Pietro wyjrzał
i znalazł się twarz w twarz z wchodzącym młodym męż-
czyzną..

Przybyły miał minę kompletnego dżentelmena. Modny
strój, bez zarzutu, elegancko uwydatniał proporcjonalne
jego formy, młodzieńcze jeszcze trochę... Uderzające po-
dobieństwo pomiędzy nim a milordem od razu rzucało
się w oczy. Były to te same rysy, też same jasne włosy
i śnieżna welinowa cera, taż sama dystynkcyja; tylko rysy
te były pełniejsze i spokojniejsze, lekko rumiane i okryte
delikatnym puszkciem młodości, który tej twarzy minę
moreli dojrzałej nadawał. Najgłówniejszą różnicę stano-
wiły oczy przybyłego; były one blade niebieskie, zwyczaj-
nie zdaje się wyzywające i ostre, teraz przyćmione lekkim
odcieniem zakłopotania..

Pietro wpatrywał się ciekawie w tę twarz nową...
Z głębi wyglądały zaintrygowane postacie kobiet.

— Moi przyjaciele—rzekł przybyły wchodząc do izby—
żądaj od was maleńkiej pomocy..

— Jesteśmy wszyscy na usługi Waszej Ekselencyi —
odpowiedział uniżenie Pietro..

— Lord Glenmoore mieszka w tej willi..

— Od miesiąca, Ekscelencyo!..

— Jestem jego bratem — rzekł przybyły, poskramiając

dumnym spojrzeniem poruszenie, które te słowa
w obecnych wzbudziły... widzę, że zrozumiecie mnie —
mówił dalej łagodząc twarz — jeżeli wam powiem, że
chcę się z nim koniecznie zobaczyć..

— To niepodobna, Ekscelencyo — zauważał pokornie
Pietro..

— Wiem o tem i dlatego właśnie chcę was prosić o
pomoc — odpowiedział przybysz, kładąc nacisk na
słowo prosić... Nie myślę bynajmniej skłaniać was do łamania
rozkazów hrabiego... żądam tylko, żebyście mi
wskazali miejsce, gdzie się zwyczajnie przechadza, a
sami — dodał wyjmując kilka sztuk złota — poszli przez
ten czas wypić za nasze zdrowie..

Ekscelencyo — rzekł Pietro próbując opierać się,
mimo magicznego wpływu błyszczących monet... wprawdzie
o tej porze milord przechadza się... ale nikomu, nam
nawet zbliżać się do niego nie wolno... Zresztą sługa jego
Wiliam..

— Jedna gwineja więcej i dla niego wystarczy — odpo-
wiedział przybyły tonem człowieka, nieprzyzwyczajonego
do oporu... postarajcie się nakłonić i wywabić go ztąd ze
sobą, podczas gdy ja zaczekam na hrabiego w alei..

Tu zatrzymał się pytająco..

— W alei za pawilonem, przy zachodnim murze, obok
kwatery fiołków... które milord tak lubi..

— Niczego więc nie zapomniał! — mruknął przez zęby
przybyły..

— Zresztą — dodał Pietro żywo, sądząc, że hojny
gość waha się, i bojąc się już teraz stracić przyobiecana
nagrodę.. zresztą żona moja poprowadzi nieznacznie Eksce-
lencyą aż na miejsce i ulokuje w gęstym klombie róż...
gdzie..

— Dobrze — przerwał z dumą przybyły... Daję wam
dwadzieścia minut czasu do zabrania ze sobą Wiliama i
oddalenia się... Gdzie jest wasza żona?..

— Jestem, Ekscelencyo — odpowiedziała zbliżając się
Bettina..

Za chwilę zniknęli oboje w zakrętach ogrodu..

III.

Wzdłuż zachodniego muru, za pawilonem ciągnęła
się piękna aleja włoskich topoli, poczynająca się od wej-
ścia do pawilonu i okrążająca ogród cały. Przestrzeń
pomiędzy drzewami a murem zajęta była przez klomby
róż, rzucone na bogaty, strzyżony trawnik, wśród którego
tysiące rozsianych umiejętną ręką fiołków, pielęgowanych
troskliwie, cudowną woń rozsiewały..

Już rosa wieczorna spadać zaczęła na liście i kwia-
ty... Słońce pozłacało jeszcze wierzchołki topoli i przele-
wało się świetną falą pomiędzy górnymi liśćmi, niżej cień
kładał się coraz silniejszy, zamieniając jasny szmaragd

trawy w ciemno-zielony, równy dywan, na tle którego, jak perły błyskały krople rosy...

Cisza i skupienie wieczorne poczęły już zapadać w tym rajskim zakątku. Jeszcze ptaki układały się na sen z głośniejszym szelestem; zapóźniona muszka błękitno-stalowa brzęknęła półtonem; pączki pękały w głębi klombu i tajemniczy pracownik jakiś krzątał się pilnie przed nocą pod korą bliskiego drzewa.. lecz wszystko cichło stopniowo, i tylko liście wiatr poruszał cichutko... jak dziecko przede snem rokoszne, rozmarzające dreszcze.

Na to wieczorne gospodarstwo natury patrzył się hrabia z okna swojego, chciwie poddając gorące czoło i twarz bladą pieszczotom ostatnich słonecznych promieni... Od chwili do chwili wiatr musnął go po włosach i czole, jak gdyby kto gorącymi ustami pocałował; muzyka drzew i trawy przygrywała *pianissimo* jego myślom, i znać pod wpływem tego wtóru, twarz jego chmurna coraz bardziej wyjaśniać się poczyniała... Spojrzał kilka razy wokoło siebie, jak gdyby chciał upewnić się, że nie ma świadka. Pod wpływem tego przekonania harda, chłodna powłoka rysów jego topnieć i mięknąć poczęła. Oczy straciły ten blask swój zwyczajny, jak stał lśniący i przenikliwy; niewymowna słodycz napełniła je i zwilżyła... Zdawało się, że wszystkie szrubki i paski, krepujące i zeszywniające zwyczajnie właściwy wyraz hrabiego, zluzowały się i rozkręciły. Piękny, przeszło trzydziestoletni człowiek wyjrzał z za tej zasłony... Razem jednakże tem wyraźniej wystąpiły przerażające ślady choroby.

Uwaga badacza, nie skrupowana już chłodem i surowością wyrazu, dostrzedz mogła odrazu ślady straszliwego czerwia, toczącego ten piękny owoc. Jakiż rozdzierający serce kontrast zachodził pomiędzy uśmiechem a twarzą! Był to jak gdyby promień słoneczny, igrający po żółtych liściach jesiennych... Powoli jednak, jak gdyby siła i kolory tej bogatej, otaczającej go natury, przesiąkały i spływały na hrabiego: rumieniec rozpromieniał twarz jego, pochylona przed chwilą postać wyprostowała się gibko i męzko, czar życia i młodości wstąpił na chwilę w to piękne ciało i wrócił mu świetność, jaką mieć musiało dawniej... wiele dawniej...

Hrabia podniósł się i przystąpił do szkatułki, inkrustowanej bogato, z której podwójnego dna wyjął trzy portrety... miniatury genialnego pędzla, godne podpisu Angieliki Kaufman, lśniące emalią i brylantami.

Hrabia jednakże nie podziwiał widocznie ani dzieła artysty, ani pracy jubilera. Niezmierna rzewność i żałość zamroczyły twarz jego przez chwilę. Przez chwilę drżały mu usta, jakby natłok niewymowny wyrazów cisnął się na nie; kilka jednak tylko niewyraźnych zeń wydobyło się dźwięków, obejrzał się z tęsknotą wokoło siebie, i wyrwawszy z karneciku karteczkę pisać począł...

„Trójco moja stracona!... Łono moje było
Dla Was pełnym harmonii i woni kościołem;
Dla Was lamp się tysiące tęczowych paliło,
Modlitwy i westchnienia wznosiły się społem!

Oh! organ moich uczuć z jaką z boską siłą
Popod sklepień wyniosłych rozbijał się czołem!
W tryumfalnych hymnów dźwiękach radośny tonąłem,
A serce moje jak dzwon wielkanocny biło!

Wyszlście... i wraz wszystkie popekały łuki,
Nawa przygniotła ołtarz, a na gruzy smutne
Płastwo pustek zlatuje i płacz wielki czyni
Wśród chwastów, kędy leżą rozbite na sztuki
Ostatnie, nędzne szczątki wspaniałej świątyni.
Życie moje ubogie i serce rozrzucone!

Skończył i w głębokiej pogrążył się zadumie. Po jego wysokim, jasnym czole przelatywały legiony myśli, jak białe obłoczki ścigające się po wiosennem niebie... Coraz jednak burzliwsze i ciemniejsze były te myśli... podniósł się i chodzić niespokojnie począł po pokoju, chwilowy spokój jego rysów zmaćcił się i połamał, jak zwierciadło jeziora od niespodziewanego wichru... wreszcie znać nie mogąc wytrwać w tych ciasnych ścianach... zadyszany i gorączkowy zbiegł w aleję.

Wieczór już zapadał zupełny. Po krzakach robaczki świętojańskie zapalały swoje latarki, olbrzymi oddech kwiatów zdawał się falować w powietrzu.

Hrabia szedł powoli, rozglądając się po ziemi i niebie. W rękę trzymał bukietek fiołków, wzięty z pokoju, i obrywał zeń liście z kurczowym, niespokojnym ruchem. Znać jednak było, że powoli burza się w nim układa...

Przechodząc koło klombu róż, zdawało mu się, że słyszy jakiś niezwykajny szelest... w tej chwili za nim dał się słyszeć drugi, jakby na murze ogrodowym; hrabia się obejrzał, nie miał jednak czasu nic spostrzedz, bo w tej chwili, jakby z ziemi wyrósł, stanął przed nim człowiek...

Hrabia drgnął i cofnął i rzucił się naprzód, jakby oczom swoim nie dowierzał... Promienisty wyraz przemknął po jego twarzy. Zawahał się, jakby chciał rzucić się przybyłemu w objęcia...

— Ty! Alfred! tutaj! — zawołał...

Naraz jednak twarz jego zastygła. Piorunowa reakcja odbyła się w jego postaci. Ten sam wyraz hardy i chłodny, co zwykle, oblał go...

— Ty tutaj baronie — poprawił...

— Masz powód dziwić się — odpowiedział przybyły — z lekką, afektowaną nieco wesołością — dostać się tutaj to sztuka; łatwiej było do zaczarowanego ogrodu Armidy!.. Mais à la guerre comme à la guerre... Wzięłem cię podstępem, złośliwy mizantropie, i bądź pewnym, że nie wypuszczę! Matka czeka... kucharz ma rozkaz zabić tłustego cielca... gdyby nie to, że wszyscy śpiewacy Florency

Pana Boga gardłem obrażają, wyprawilibym ci nawet serenadę...

— To napróżno, baronie, a jednak wdzięczny ci jestem! — przerwał lodowatym tonem hrabia — przyjechałem tu i zostanę...

— Że nie zostaniesz, to pewna — odparł żywo dawnym tonem baron — a przyjechałeś, nie wiem po co!..

— Przyjechałem... umierać! — odpowiedział spokojnie hrabia...

— Ah! otóż i wielkie słowa! — wykrzyknął z lekką niecierpliwością baron — zawsze byłeś egzaltowany... Gdyby mój biedny ojciec miał być połowę twojego zdrowia, byłby dzisiaj osadzał dzika w Gumphry Castel, a tak łączy się z nami i z całą legią aniołów i archaniołów, ażeby wymodlić dla ciebie zdrowie wyobraźni, bo tylko tę masz chorą... Uciekłeś, jak sarna raniona z Neapolu, zostawiając mi jałmużnę.

— Baronie!..

— Bah! tem gorzej, jeżeli cię to gniewa... Zacząłem i dojdę do końca... Zostawiłeś mi jałmużnę, powiadam, i nowe upokorzenie... Zapis twoich dóbr dla mnie i ucieczka twoja tysiące obudziły oszczerstw i obelg, całe gniazdo os wysypało się na mnie... Odbierz coś dał... i wracaj...

Hrabia drgnął z oburzenia...

— Baronie, nie musiałeś poradzić się matki przed tem heroicznym postanowieniem — rzekł ironicznie — albo żartujesz i próbujesz mnie...

Baron zarumienił się w ciemności...

— Mówię najpoważniej w świecie — odparł żywszym tonem. — Dosyć tych dobrodziejstw!.. Wolałbyś raczej nie nawidzieć mnie i matkę, aniżeli miłością swoją i jej objawami na pastwę językom ludzkim nas oddawać... Ty wrócić musisz: jest w tem racya stanu!.. Opinia ma nas za spekulantów i tyranów!.. w ciebie za niewinną ofiarę najszlachetniejszych uczuć twoich! stałeś się interesującym.. jeżeli ci chodziło o gloriolkę, tryumfuj!.. skonfederowane wojsko sentymentów na ciebie czeka...

Baron, mówiąc to, przybierał coraz lżejszy i bardziej szyderski ton. Zdawało się, jak gdyby brzękiem tych słów chciał się zagłuszyć, a tonem ich mówić w siebie, że ma urazę i słuszość po sobie.

Hrabia stał jak skamieniały... Piekące, grube łyzy obciążały mu powiekę, przy ostatnich słowach zachwiał się jak pijany, ale nie przemówił ani słowa...

Była chwila milczenia...

— Milczysz? nie odpowiadasz ani słowa!.. — zawołał głośniejsz baron, jakby dźwiękiem własnego głosu dodając sobie odwagi. — Wiecznie ta tajemnicza rezygnacya i milczący wyrzut... Chciałbyś może dać tem uczuć mi, że nadużywam twoich najświętszych uczuć, że cię nie kocham, że zapominam, com ci winien? Nie obawiaj się, od

pierwszych pieszczoł w Gumphry Castle, aż do ostatniego pocałunku w dzień... moich zaręczyn...

— Nieszczęśliwy! on mnie zabija! — szepnął hrabia...

— Pamiętam — ciągnął dalej baron egzaltując się, że jesteście pasierby, żeś mi nie był nic winien, żeś mi był więcej niż bratem... że nic nie miałem, a tyś dzielił się wszystkim ze mną... żeś mi tyś razy rozgniewał, obraził, a tyś mi przebaczył, pamiętam: dobrze więc!.. jesteś lepszy, szlachetniejszy, wznioślejszy odemnie, ale bądź nim do końca, wróć do nas.. zamknij usta złośliwym, nie wydawaj na pastwę oszczerstwom mnie i matki mojej!..

— Dosyć! — zawołał błagalnie hrabia...

— Nie rozumiem tej przerwy — rzekł baron — byłoby to prawdą, żeś kochał jeszcze wtedy Fanny?!

— Ani słowa więcej! baronie — przerwał gorączkowo hrabia... Przyjechałem tu, żeby umrzeć, i zostanę tu aż do śmierci, na którą niedługo czekać mi przyjdzie... Wyobraźcie sobie, żeś już umarł... zresztą, gdyby nie pewność suchot, byłoby się to już istotnie stało, ale Bóg mnie ochronił od samobójstwa...

— Cóż ci jest! Po co te okropne słowa! — przerwał baron...

— Mam splen — odpowiedział z chłodnym uśmiechem hrabia — wiesz, że to dziedziczne w mojej familii...

— Edwardzie! Edwardzie! nie pojmuje cię...

— Ja zaś pojmuje cię doskonale... Nikt nie wie, że tu jestem: każcie obić kaplicę w Glenmoore-Hotel w Neapolu grubym kirem w łyzy białe, zapalcie sto gromnic woskowych, i spiewajcie za moją duszę mszę żałobną... Upoważniam was do tego. Będzie to tyle oszczędności na czasie. Przysięgam wam, że za miesiąc umrę. Umieję troszkę astrologii... Moja gwiazda zagasała w tym miesiącu na nowiu i w przyszłym już się nie zapali... Ogłoście wszędzie, że umarłem, że zapis mój jest testamentem. Jest nim. Każe się cicho pochować, i rzecz będzie skończona... Zgoda?.. Więc zgoda.. A teraz żegnaj cię, Alfredzie — tu głos mu zmiękł widocznie... zabierzesz po mojej śmierci trzy miniatury... Jedna twoja, matce oddasz drugą... trzecią... twojej żonie...

Ostatnie te słowa wymówił coraz słabszym głosem. Byłby omdlał. I tak osunął się na bliskie drzewo i zamilkł...

Baron poskoczył ku niemu...

— Edwardzie! — zawołał szorstko prawie — gdyby nie stan osłabienia, w którym cię widzę, i nie pokrewieństwo nasze, nie zniósłbym dłużej twoich obelg. Ach!.. widzę już teraz wszystko jak na dłoni — zawołał.. uderzając się w czoło. — Szalony... ty kochasz jeszcze Fanny... Świadkiem ten bukiet fiołków, ulubionych jej kwiatów, w twojej ręce!.. Depit amoureux mówi i działa przez ciebie... Nie pamiętaszże więc, że z wolnej woli, choć prawie narzeczona twoja, poznałszy mnie, zgodziła się być moją żoną?..

Nie zgodziłeś się ty sam, skoro ci matka przedstawiła, że małżeństwo to było dla mnie kluczem do ambasady w Neapolu, i że Fanny mnie kocha?! Pamiętasz ten pocałunek zaręczyn... Wiem, ile w tém wspaniałomyślności twojej było: mogłeś się opierać, złamać moją karierę, ożenić się z nią, ale czyżby mnie kochać przestała... Edwardzie?!

Tu przestał i cofnął się przerażony.

Hrabia szedł prosto na niego, krokiem automata, sztywnym, drewnianym, automatycznym. Zdawało się, że stracił samowiedzę działania, mowy i ruchu. Z ust jego, jak z konwulsyjnych warg Pytyi Delfickiej, zrywały się najprzód urywane słowa, dźwięki bez treści, aż zwały się w huragan niewstrzymany, w którym, jak we wrzawie walki słychać trzask pożaru i grzmot dział i jęki rannych i płacz matek, i tu słychać było całą symfonią grozy i boleści...

— Bracie mój!... wołał... Ukochany mój!... Wrogu mój!... miej litość!... Czy nie widzisz, że od pół godziny torturujesz mnie bez miłosierdzia i uwagi?... Czy nie słyszysz, jak pęka moje serce?... Jesteście niedołęźniejsi i gorsi od zwierząt? Pies by zawył patrząc w moje oczy!... Za cóż mnie gnieciesz nogo, którą wypieścił i tyle razy sam obuwał!... Czemuż mnie szarpiecie usta, które całym pragnieniem mego serca kochałem!... Tyś mi nie brat rodzony, — ale tamta... rodzona matka... Przyjąłem do stołu mego ojca — w jego krzesło, pod dach jego: — obcego człowieka — ojczyma; — ukochałem dziecko jego jak gwiazdę niebieską... — rozdzieliłem z nim chleb mego ojca; — sierotę przygarnąłem do mojej myśli i serca... Wszystkiego odemnie pożyczył... Jeżeli zawołam na myśli i uczucia twoje — wrócą do mnie!... Broń Boże! nie wrócą: szatan cię przemienił!... Chciałem za to wszystko tylko waszej miłości. Żadne z was mnie nie kochało!... Matka poświęcała i poświęciła mnie tobie... Tyś był dzieckiem jej ambicyi i wyboru... Milczałem. Nie było ofiary, którejbym dla was nie zrobił. Czułem i rozumiałem, że narzędziem tylko. Niedołęźny!... bałem się sformułować to... bałem się drgnąć... Stracić was... zerwać z wami!... nigdy! Nie było ceny, za którąbym choć pozoru waszej miłości nie chciał być kupić — choć cienia... Im mniej miałem... mniej mnie kochaliście... Och jakże pragnąłbym być mieć świat cały. Zabraliście mi powoli wszystko. Została mi połowa majątku i kochanka... Czym ją kochał?!... Dość powiedzieć, że nieraz przy niej o was zapominałem... Wydarłeś mi jej miłość, i to był cios wielki. Ale większy mnie czekał... Uczułem, że wszystko skończyło się pomiędzy nami. Pamiętasz, byłem słaby i umierający — pierwszy raz wtedy młot fatalny zniszczenia uderzył w moje piersi... Byłbym żył może dłużej, gdybyście mnie kochali... o żyłbym pewnie. Któż z was był wtedy przy mnie?... Pamięć była i gorączka. Tak

gorączka... bo com usłyszał — temu nie uwierzę... Liczyliście na śmierć moją!...

Baron zrobił ruch gwałtowny...

— Więc dusze wasze liczyły, nie usta, a ja usłyszałem je, jasnowidzący się stałem z boleści. Wówczas postanowiłem ostatnią wam zrobić ofiarę — najlżejszą... z życia. Ale mój ojciec mi zabronił... tak, panie, mój ojciec mi zabronił umarły!... Kazał mi żyć! bo Bóg mi da jeszcze króciutkie szczęście... Kiedy?... jak?... Dość, że żyć mi kazał. Nie pożegnałem Was, bo byłbym umarł ze wstydu i boleści... Czegóż jeszcze chcecie odemnie?... Dla was umarłem. Jedźcie i używajcie!... Bogdajby sen wasz był wam miłszym bezemnie, stół sytniejszym, napój po krzepiającym bardziej!... Mówię do was z grobu, żegnajcie!...

W tej chwili księżyc cały wypłynął na głęboki szafir nieba i oświecił twarz hrabiego... Była to najcudowniejsza twarz, jaką kiedy niebo widziało. Anielskie uniesienie i wielkość tryskały z czoła... usta drżały natchnionym dreszczem... blada, męzka twarz i oczy czarne płonęły jak miecz Archanioła...

Baron cofał się przed nim mimowoli i próżno uśmiechnąć się silił. Usta mu zbladły i trzęsły się; ręce miał wilgotne i bezsilne, nogi się pod nim uginały: całego przejmowała go zgroza jakaś potężna; czuł się taki maleńki przed tym majestatem olbrzymiej miłości, że znaleźć nie umiał słowa...

Obadwaj posuwali się ku bramie wchodowej.. W bliskości nich dał się słyszeć szelest w tym samym kierunku. Szelest ten powtarzał się podczas ich rozmowy kilkakrotnie — ale albo go nie pochwycili, lub nań uważać nie chcieli. Ktoś jednak widocznie słuchał ich, wysłuchał i chciał ich słuchać do końca... Szelest ten dyskretny zdawał się pochodzić z za ogrodowego muru.

Hrabia prac przed sobą barona doszedł do kraty. Przy kracie baron odwrócił się i podniesionym głosem rzekł:

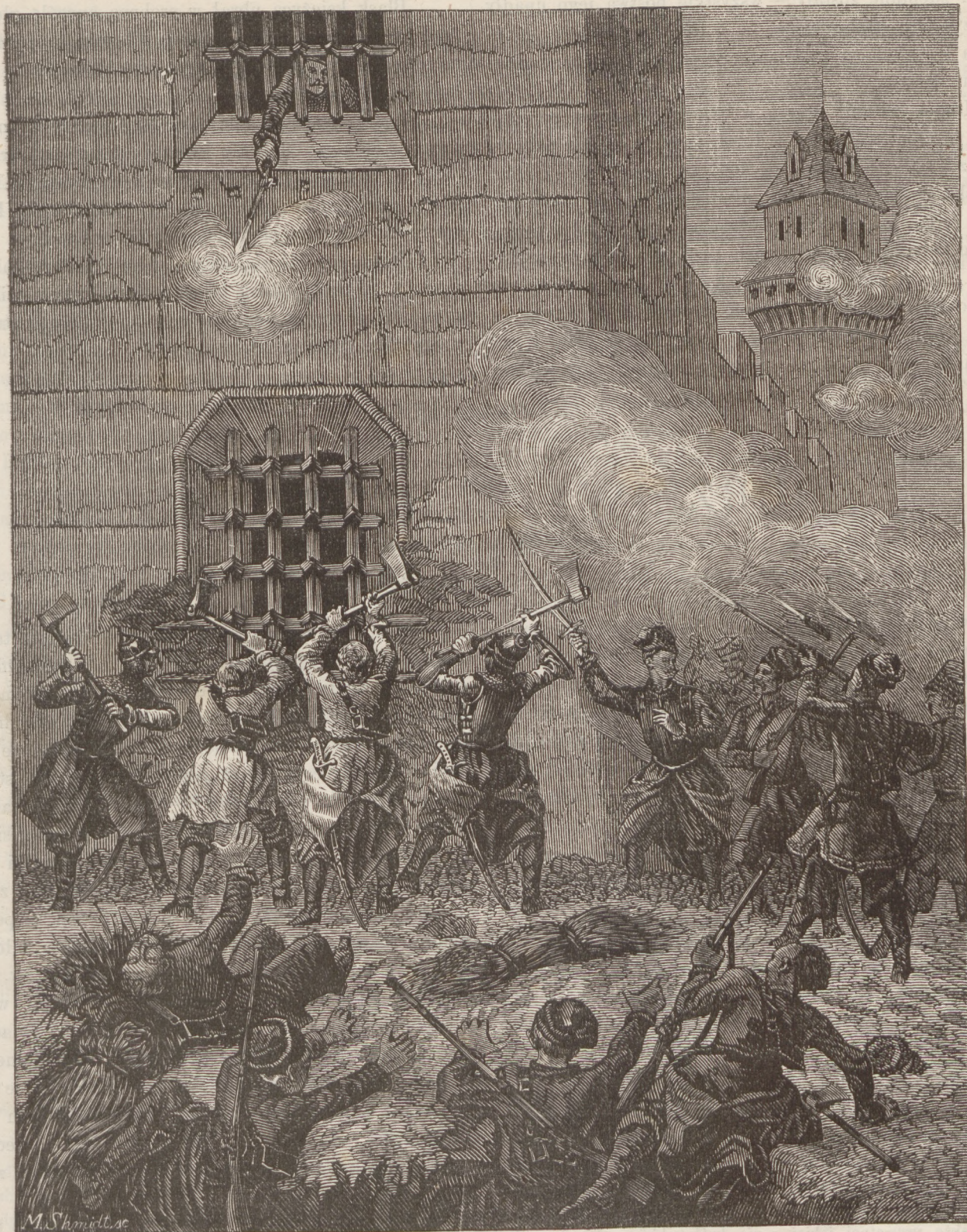
— Ostatni raz cię zaklinam! Otrząśnij twoje szaleństwo! Ratuj nas i siebie... Zkąd powstały te szalone domysły i kalumnie, nie wiem — ale to pewna, że cały świat nasz i prasa przebąkują, jakby słyszały ciebie... Miałem już cztery pojedynki... Chcesz zniweczyć moją karierę. Bracie, zaklinam cię po raz ostatni: wróć do nas w towarzystwa, zrób tę ostatnią ofiarę!...

— Nigdy! chcę zostać tu i umrzeć tu, sam...

— Ah! tem gorzej! — zawołał już za bramą wsiadając w faeton swój baron, i śmiejąc się sarkastycznie. — Będę musiał powiedzieć wszystkim, żeś zwaryował!...

I echo powtórzyło wybuch jego śmiechu.

Ten cios ostatni, jak strzała Parta w odwrocie, zatrute ostrze utopił i załamał w sercu hrabiego głęboko... Zataczając się i odpoczywając po drodze doszedł on do swojego pokoju...



ODZYSKANIE MIASTA KOLDYNGI PRZEZ STEFANA CZARNECKIEGO.

(Podług ilustracji J. Lewickiego do Pamiętników Paska.)

Tam padł na klęcznik i zalał się gorącymi łzami. Wszystkie szlachetne uczucia tej pięknej duszy zniweczone i zdeptane zostały — wszystkie bóstwa jego upadły w gruzy, tem straszniejsze, że z ich wnętrza gad samolubstwa i spekulacji wypelzał. Życie stracone... zmarnotrawione serce...

Hrabia zatopił wzrok w twarzy Chrystusa na krucyfiksie ze słoniowej kości i drżał cały.... Jak w halucynacji zdawało mu się, że kość ta martwa się ożywia; że boska twarz Chrystusa uśmiecha się do tych ran w jego sercu, jak do swoich własnych, — chroni i przyjmuje go w otwarte niebo swoich oczu, i z ran rozkrzyżowanych rąk upuszcza kropelkę krwi w pierś jego — rose niewymownej woni. Jak balsam rozlewa się i ożywia go ta krew kropla... wszystkie męty duszy idą na dół... coraz bardziej na dół, aż uczuł się naraz cichym, jak wielkie

jezioro podobne do nieba z gwiazd i słońca, które odbija, — choć na ziemi rzucone...

Blask księżyca ubrał w srebrną aureolę głowę jego, wydobył jak płaskorzeźbę postać Chrystusa na krucyfiksie na wierzch, a ciemno-fioletowe tło klęcznika w tajemną, łagodną głębię wsunął...

W tej chwili do nóg hrabiego upadł cudny bukiet pełnych fiołków. Głębokie kwiaty, aż po sam brzeg, jak puhary, nalane były kryształową rosą; pachniały wszystkim, co prawdziwie wonne na ziemi: wodą, łąką, powietrzem, wiosną i przedewszystkiem sobą.

Hrabia zerwał się, chcąc obaczyć, z kąd ten dar pochodzi... usłyszał jednak tylko szelest kroków znikających w oddali za murem ogrodowym i deszcz kropli strąconych w szybkim biegu z liści....

(C. d. n.)

BURZLIWA KORONACYA *).

OBRAZEK HISTORYCZNY

przez

KLEMENSA KANTECKIEGO.

Król Władysław Jagiełło, podobnie jak później ostatni jego rodu królewski potomek, tysiącami przykrościami opłacił zaślubiny szlachcianki ¹⁾.

Podobieństwo Elżbiety do Barbary uderza pod niejednym względem: obydwie wczesnie osieroczone, córki starożytnych i możnych acz nie panujących domów, wychodzą nasamprzód za ludzi prywatnych, i owdowiawszy

dopiero, oddają serce i rękę królom — obydwie tak silnie umieją do siebie przywiązać królewskich małżonków, iż ci z niezłomnym hartem opierają się natarczywym głosom troskliwej o przywileje szlachty — obydwom powolny smutek i niezasłużone umartwienia w kilka zaledwie lat po ślubie przedwczesny zgon gotują — obydwie stają się pastwą niecnych paszkwilów ²⁾ — a w końcu tak samo jak niektórzy kronikarze Elżbiecie, nie sromają się pisarze współcześni zarzucać Barbarze, „że od matki w złych obyczajach i czarodziejstwie wychowaną będąc i z czarownicami się hodując za młodu, potem zwłaszcza po owdowieniu, za pomocą czarów wielbicieli w sidła miłości wzięła“ — że miłosnych trunków używała ³⁾ i t. d.; ta tylko dzieli je różnica, iż o Barbarze, dzięki większej piśmienności wieku, pozostały broniące jej sławy świadectwa, podczas gdy pamięć Elżbiety jedynie nienawistne pióro Długosza przekazało potomności. Przepuścmy, że o charakterze i przymiotach Barbary przyszłoby nam sądzić z tego tylko, co napisał w swym paszkwilu Orzechowski i kilku innych pamfletistów — cóżbyśmy wówczas za wyo-

1) Rzeczone porównanie nasuwało się już współczesnikom Zygmunta Augusta, mianowicie Stanisławowi Orzechowskiemu w książce p. t. De obscuro regis matrimonio (albo: de secundo conu. S. R. P. Sig: Aug. oratio ad Eq.). Publikacji tej, niezmiernie dziś rzadkiej, nie udało nam się odszukać — znaleźliśmy tylko streszczenie w dziele Ossolińskiego o Orzechowskim (tom II. 307) i wzmiankę o niej w komentarzu Błazowskiego do Kromera (str. 367).

Błazowski chcąc dowieść, iż Elżbieta „nie gwałtownie od Morawianina porwana i zaś wrywana, ale przystojnym trybem poślubowana bywała“ — powołuje się na świadectwo Orzechowskiego, jako „człowieka godnego, nie naganionego i pisarza prawdę wyczerpującego“ — który „króla ożenienia ucząc“ — takie mu miał dawać rady: „Nie tak prawi, jako Władysław, przodek twój, który był Granowską, z domu Pileckich pojął, białogłową wprawdzie uczciwą i dosyć zącą, jednakże prywatnej jakiej a nie królewskiej osobie do małżeństwa sposobniejszą: ponieważ, prawi, nie kwoli samemu sobie, ale kwoli wszystkim koronie ożeniac się powinien.“

Czytaj także, co pisze M. Baliński w przedmowie do „Pamiętników o królowej Barbarze“, w tomie I. str. XVI.

2) Jan Tęczyński, posądzany o autorstwo jednego z tych paszkwilów, oświadczył r. 1548 w Piotrkowie, „że samego Solimana tureckiego wolałby cierpieć na zamku krakowskim, niżeli Barbarę widzieć królową.“

3) M. Baliński. Pamiętniki o królowej Barbarze — tom I, str. 295 do 297.

*) Jako wyjątek z drukującego się obecnie nader ciekawego studium historycznego p. n. „Elżbieta, trzecia żona Jagiełły. (Przyp. red.)

brażenie mieć mogli o tej idealnej postaci dziejów naszych, obarczonej przez współczesnych cięższymi nierównie zarzutami, niż Pilecka!

Jakie wzburzenie panowało w kraju z powodu mniejszego uszczerbku równości szlacheckiej, gdy zwłaszcza ulokowani po najpierwszych urządach krewniacy i stronicy kancelaryi nie zaniechali w swoich kołach podżegać panów braci — można wnieść ze słów tylekroć już wspomnianego Marcina Błazowskiego, który acz nierównie późniejszy i obrońca „szlachetnej królowej“, tak się przecież o tym związku wyraża:

„Którego wprawdzie małżeństwa jako żaden z kronikarzków ani polityków królowi nie chwali, tak i ja, zupełnie w tej mierze z nimi przestając, pochwalić go nie mogę ani pochwałam. Albowiem nie królestwo wolne królowi, ale król królestwu stósować się i dogadzać powinien, jako temu, w którym nie samopaśna chciwość tyrańska wydziwia, ale określona prawem i ustawami, ograniczona władza Pańska, skromnie i pomierne panuje. Dla tegoż tedy nie względem chciwości i upodobania własnego, ale względem pożytku i ozdoby wszystkiej Rzeczypospolitej obejście małżeństwa miał był król Władysław zaciągając: ale że inaczej uczynił, naganę w małżeństwie ponosi.“

Od śmierci Kazimierza W. przywykły do samowładztwa, do dyktowania praw panującym (Ludwikowi, Jagielle), widział teraz stan szlachecki ze zgrozą, iż dobroduszny i słaby Władysław, zamiast coraz większymi ustępstwami, jak dotąd, zjednywać sobie fawor narodu, bez zaciągnięcia jego rady wchodzi w nowe związki, i to ani z królewskim ani książęcym domem, lecz z jakąś tam kasztelańską wdową, co wedle gminowładczych wyobrażeń było wielkim występkiem, bo jak mówi Waclaw Potocki w Argenidzie:

„Równość, którą się zawsze bardzo szczyć, broi,
„Że wyżej nie chcą widzieć nad sobą krwi swojej.“

To też gdy po weselu wyjechali nowożeńcy do Lwowa, następnie zaś podróżowali po Rusi wschodniej, zwiedzali Gliniany, Busk, Sokołów, Trembowłę, Buczacz, Halicz, z kąd znów wrócili do Lwowa ⁴⁾ — pochód ten nie był zapewne tryumfalnym, nie wybiegała ku nim szlachta z powitalnymi i winszującymi mowami.

Zostawiwszy małżonkę na czas niejaki w stolicy

4) Wedle Długosza już po raz trzeci w r. 1417 przybywa Władysław do Lwowa; w dokumentach miejskich przechowały się ślady jednorazowej tylko bytności Jagielle, przyczem dostarczyło miasto królowi czterech kłód owsa, pisarza zaś jego obdarzyło kaletą. (Pisze o tem Zimorowicz w swojej *Historii* miasta Lwowa str. 135 i Dyonizy Zebrzycki w *Kronice* miasta Lwowa, str. 84. Tłumacz dzieła Zimorowicza, Marcin Piwocki, nie mogąc znaleźć w polskiem stosownego wyrazu za oznaczenie łacińskiego „succiperium ventrale“ (kaletaj) nazwał je „workiem brzuchowym.“

Rusi Czerwonej, zjechał się król w dniu św. Jana Chrzciciela (24. czerwca) w nadbużańskim Dobrotworze z Witołdem — nie jak chce Długosz, „w celu złagodzenia jego gniewu i obrazy“ — lecz celem naradzenia się ze znanym z roztropności stryjecznym bratem nad sposobem dalszego postępowania. Można też niemal z pewnością twierdzić, że na zjeździe w Dobrotworze toczyły się między Jagiellą a Witołdem układy o stosunek Elżbiety do pasierbicy, Jadwigi, uznanej już za królową i powierzonej, jak niżej zobaczymy, na przypadek śmierci ojca, opiece W. księcia. Jagiełło przyrzekł niezawodnie, iż po jego śmierci Pilecka nie będzie rościła prawa do rządów — Witołd nawzajem przyrzekł mu nie sprzeciwiać się zamierzonej koronacji Elżbiety.

Wróciwszy do Lwowa po żonę, udał się król razem z nią okolicą leżącą u podnóża Karpat do Nowego Sącza, gdzie im zajechała drogę jedynaczka Jagielle z drugiego małżeństwa, prawnuczka po kądzieli Kazimierza W., Jadwiga, której przed czterema laty zapewniono następstwo po ojcu ⁵⁾.

Królowna, czyli jak ją wówczas już zwano „królowa“, lubo dopiero w ósmym roku życia, nasłuchawszy się od otoczenia wielu skarg na nowy związek ojca, powitała macochę z „obawą i żałobą“.

Stanąwszy w Niepołomicach na uroczystość Wniebowzięcia N. M. Panny (15. sierpnia), zabawili tu królestwo przez tydzień ⁶⁾, następnie zaś (wedle obliczenia kronikarza) wyjechali w Lubelskie.

Stosownie do wyobrażeń ówczesnych, stosunek wpływający z trzymania do chrztu stanowił kanoniczną przeszkodę w małżeństwie; nie omieszkali wyszukać tej okoliczności nieprzyjaciele Elżbiety, wołając słowami Kromera: „iż obrządek chrześcijański gwałt ze związku onego ponosi, ponieważ chrzestną siostrą królowi była“.

Korzystając również z tak wybornie nadarżającej im się okazji, podania w podejrzenie Jagiellej prawowierności, donieśli o tem Krzyżacy soborowi z tryumfem i natrząsaniem, „czem się posłowie polscy wielce zafrasowali.“

Dla zapobieżenia dalszym obmowom, wysłał król Andrzeja z Kokorzyna, teologa i historyka), archidia-kona krakowskiego i profesora wszechnicy krakowskiej, późniejszego pogromcę husyckich błędów, do Konstancyi po dyspensę, którą też otrzymał „po wielu zabiegach“ — lecz jeśli wierzyć znów można Długoszowi, z warunkiem,

5) Kodeks dyplomatyczny Litwy — wydany przez Edw. Raczyńskiego, str. 386.

6) O mylności niniejszej daty Długosza świadczy dokument wydany przez króla 19. sierpnia w Nowym Krezynie. (Kodeks dyplomatyczny Litwy — wydany przez Edw. Raczyńskiego, p. 386).

„że po śmierci Elżbiety nie wolno już będzie królowi pojąć innej małżonki:“

Z Lubelskiego, gdzie bawił w Żukowicach, wyjechał Władysław na całą jesień w kraje ruskie, zapowiedział koronacją królowej dla tem większego jej uczczenia na sam dzień św. Elżbiety (19. listopada). W dniu oznaczonym stanął król z małżonką, stanęli także przedstawiciele ziemian wszystkich dzielnic kraju. Z pomiędzy reprezentacji miejskich przybyło po raz pierwszy na uroczystość koronacji dwóch wysłańców rady lwowskiej.

Mieszczanie lwowscy, nie mając jak szlachta powodów do nienawidzenia Elżbiety, dali jej owszem dowód życzliwości, przywożąc w darze 300 cytryn, ośm kamieni wyzyny ⁷⁾ za trzy kopy, dziewięć par tebinek, z których siedm par po trzy kopy a dwie pary po sto groszy, kobiercy i adamaszku za 10 kóp i jedwabiu za 10 fertonów ⁸⁾.

Ze szlachty wielkopolskiej przyjechali: Mateusz Wąsosza, wojewoda kaliski, Jakób Koniecpolski, wojewoda sieradzki, Sędziwój Ostroróg, wojewoda poznański, Janusz Kościelski, wojewoda gniewkowski i Piotr Szafraniec, starosta łęczycki — brakło tylko tych, co myśląc, że nieobecnością swoją powstrzymają króla od stanowczego kroku, uchylili się od przybycia pod różnemi, listownie wyluszczone pozorami ⁹⁾.

Ale i obecni panowie nie przybyli bynajmniej dla uświetnienia uroczystości koronacyjnej — lecz w myśli, aby nie dopuścić koronacji — albo też, jakby się to nie udało, dla dzielnic swoich wyciągnąć ztąd jak największe korzyści.

Wspomniany już Krzyżak opowiada, iż panowie wielkopolscy upominali się usilnie, by obrząd koronacyjny wedle starego obyczaju i królewskich przyrzeczeń odbywał się nie w Krakowie, lecz jak dawniej w starożytnym gnieździe lechickim, w arcybiskupim Gnieźnie.

Starcie dwóch przeciwnych sobie żywiołów, staro-polskiego, walczących jeszcze wówczas o pierwszeństwo — skończyło się i tą razą jak zwykle, jak już za węgierskiego Ludwika, zwycięstwem drugiego.

Nie chcieli jednak Wielkopolanie ustąpić — a opór

7) „Wyzina, jestto rodzaj ryby haniebnie wielkiej, w Dunaju się mnożącej.“ Kromer 541, u Landego.

8) Jakkolwiek ofiarowane królowej przez mieszczan lwowskich dary wydawać się mogły śmiesznymi i drobnymi, były one niemałej wartości, bo jak obliczył Zubrzycki, możnaby było za nie w owych czasach wieś kupić.

9) Przytoczone powyżej imiona (dziwnie z niemiecka poprzesztalcane), równie jak cały opis zajścia między panami a królem, czerpiemy z listu obecnego na uroczystości Krzyżaka, który ogłosił hr. Edw. Raczynski na 385 i 386 str. „Kodeksu dyplomatycznego Litwy.“

ich był tem zaciętszy, że widząc dzielnicę swoją coraz więcej usuwaną od udziału w rządach, obawiali się, by osadzenie na tronie białogłowy z małopolskiego, potężnego szczepu, nie nadało Małopolsce zbyt wielkiej nad innymi częściami kraju, mianowicie zaś nad Wielkopolską przewagi.

Przyszło do „twardych sprzeczek i nieporozumień“ — a gdy krakowscy panowie oświadczyli z gniewem, że „Kraków tak dobrze jest miastem królewskim, jak Gniezno, i że król może gdzie zechce odbyć koronacją“, odwołano się do wyroku samegoż Jagiełły.

Za cenę uznania pierwszeństwa Krakowa przed Gnieznem, gotowi byli Małopolanie uleść woli króla i uznać ważność koronacji jego małżonki — to też Władysławowi wypadało nie narażać ich sobie, lecz owszem uczynić zadość ich życzeniom, gdyż nie Wielkopolanie, jedno oni rej już wodzili w kraju.

Nie chciał przecież Jagiełło rozdrażniać i Wielkopolan; dla tego zaprosił ich ze sobą do sypialnej komnaty i starał się nakłonić do powolności łagodnemi słowy, przypominając, że nadaniem różnych swobód i przywilejów „zrobił ich panami“, i wzywając, by i teraz „dobrowolnie uczestniczyli przy koronacji“, podobnie jak przy dawniejszych takich obrzędach.

Odpowiedzieli panowie wielkopolscy, że nie mogą tego uczynić ze względu na odpowiedzialność, jakąby podobnym krokiem ściągnęli na siebie wobec pozostałej w domu braci szlachty, — a gdy im król zaproponował, by nie w imieniu współziemian, tylko w swoim własnym brali udział w uroczystości, odparli, że to jest niepodobieństwem.

Wówczas uniósłszy się wielkim gniewem, zawołał Władysław: „Gdyście ostatnią razą byli u mnie w Korczynie, prosiłem was, abyście mi razem z żoną (?) dozwolili powrócić do dziedzicznych krajów, wam zaś zostawiłem córkę naszą i upoważniałem was do zaślubienia jej wedle waszej woli i do ogłoszenia jej męża królem; tego się i dziś jeszcze domagam.“

Widząc taką stałość Jagiełły, gotowego dla miłości do Elżbiety poświęcić koronę, zmiękli nieco twardzi Wielkopolanie, lecz nie myśląc ustąpić zupełnie, odrzekli: „Nie możemy Ci, Miłościwy Królu, dać innej odpowiedzi krom tej, że jesteś jak byłeś dotąd, łaskawym panem naszym, żeśmy dla Ciebie życie i mieniełożyć gotowi i we wszystkim okazać Ci powolność, lecz w tym jednym razie zniewoleni jesteśmy odmówić Ci posłuszeństwa — wiesz bowiem sam, co się stało przed czterema laty w Jedlnie, gdzieśmy córce twojej musieli hołd składać i poprzysiądz, iż ją sobie weźmiemy za królowę, za opiekuna jej po śmierci twojej również pod przysięgą obowiązując się uznać Witolda. Dla tego, Miłościwy królu,

wydaje nam się rzeczą zgoła niepodobną, abyśmy mieli dwie królowe, czego w Polsce nigdy nie bywało; ty zaś sam uznasz, iżby ztąd wielkie urosły zatargi. Błagamy cię zatem, abyś obrząd zechciał odroczyć do czasu, gdy się zjadą i ci panowie, co teraz, jakoć pismem donieśli, przybyć nie mogli“.

Nie dokazawszy niczego łagodnością, postanowił Jagiełło surowością przywieść swój zamysł do skutku. „Niezwłocznie“ — zawołał — „niezwłocznie ma się odbyć koronacja, czy wam to będzie miłym, czy nie; tobie zaś Sędziwoju“ — rzekł do wojewody poznańskiego — „zawdzięczam to więcej, niż komukolwiek innemu“¹⁰⁾.

Rozdrażnieni w swej dumie Wielkopolanie, zawołali wówczas z przekąsem: „Jesteś panem i królem naszym, możesz robić co zechcesz, masz też pięć koron w skarbcu, możesz Elżbiecie włożyć na głowę jedną, dwie a nawet wszystkie pięć — możesz to wszystko uczynić, lecz kraj do uznania jej za królową zmusić, nie w twojej mocy“.

„Uczynię, jakem przedsięwziął, czy to komukolwiek podobać się będzie lub nie“ — powtórzył jeszcze Władysław do wychodzących już z sypialni magnatów¹¹⁾.

Po tak niemiłych przejściach, które niezawodnie w sercu Elżbiety boleśnym oddźwiękły echem, przystąpiono do koronacji, sprawowanej pod niebytność arcybi-

skupa gnieźnieńskiego, Mikołaja Trąby¹²⁾, przez Jana Rzeszowskiego, arcybiskupa lwowskiego, męża (jak mówi Zimorowicz) „niepospolitego urodzeniem, nauką i zasługami, położeniami około Rzeczypospolitej“¹³⁾.

Nienawistnym okiem na całą uroczystość spoglądającym Wielkopolanom wydało się zastąpienie arcybiskupa gnieźnieńskiego lwowskim, nie tylko ubliżeniem prymasowskiej powadze, lecz nawet podstępny zamiar odsunięcia arcybiskupów gnieźnieńskich nadal od pełnienia koronacyjnego obrzędu i odebrania tak Wielkopolsce ostatniego śladu przewagi, jaka jej dawniej nad innymi dzielnicami przysługiwała.

Chcąc tedy zniweczyć mniemane knowanie zwolenników nowego, małopolskiego obyczaju, chcąc zapobiedz, „aby i potomne arcybiskupy gnieźnieńskie (jak mówi Kromer) od onej zwierzchności królów i królewien koronowania nie oddalano“ — czyli wedle słów Długosza — „aby na przyszłość kościół gnieźnieński i jego arcybiskupstwo nie stracili pierwszeństwa“ — wyrobił sobie Trąba na soborze, „gdzie dla znamienitości swojej w przyjemnej wadze płużył“ (Kromer), miano prymasa królestwa (prymas regni), i od tego to czasu zaczynają arcybiskupi gnieźnieńscy używać tytułu prymasów.

10) Sędziwój Ostroróg, również i wedle świadectwa Długosza, postanowieniu królewskiemu najmocniej się opierał; grał on w dniu koronacji wobec Władysława Jagiełły też samą rolę, co wobec Zygmunta Augusta Jan Tęczyński.

11) Tu się urywa ów list krzyżacki, któryśmy streścili, niektóre wyjątki podając w dosłownym przekładzie.

12) Trąba, jak wiadomo, już od r. 1414 bawił na soborze lub w interesach tegoż jeździł z królem Zygmuntem po Hiszpanii i Francji — mylnem więc jest powiedzenie Bartoszewicza, jakoby „Elżbiety koronować nie chciał i wyjechał do Konstancji.“ (Encykl. Orgelbranda, tom VIII. Porównaj Niesieckiego tom VII. str. 309, z którego widocznie czerpał Bartoszewicz.

13) Historia miasta Lwowa przez Bartłomieja Zimorowicza, konsula niegdyś tego miasta, po łacinie napisana, a teraz na język polski przez Marcina Piwockiego przełożona. Lwów 1835.

Przechadzki po wystawie powszechnej w Wiedniu w r. 1873.

przez A. S.

III.

(DOKOŃCZENIE).

Wchodzi się do ogrodu przez bramę, przypominającą nieco szubienicę. Naprzeciw wchodu stoi świątynia drewniana, do której prowadzi przez rzeczkę wązki mostek. Rzeczka ta posłużyła też do utworzenia grotty i wodospadu. Świątynia zasłonięta jest jedwabną kotarą, a w niej złożone podobizny dziedzicznych koronnych klejnotów, jako insygniów władzy, jako to: metalowe zwierciadło, klejnot jakiś wydęty i miecz. Obok druga świątynia, a w niej dwa bębny i święta szafa, na ścianie wymalowany bożek muzyki. W tej świątyni wykonują bowiem kapłani wobec ludu tańce święte przy muzyce — coś jak Dawid przed arką przymierza. Jako ozdoby znajdują

się w ogrodzie dwie kamienne latarnie, w które się wstawia papierowe, kolorowe lampiony, jakie narzędzie u nas po sklepach sprzedają, brązowy bocian i jakiś potwór czy smok. Jest tu i brązowy dzwon bez serca, dzwoni się przez wchylanie belki drewnianej, niby taranu; a na wysokiej żerdzi wisi niby chorągiew papierowa, olbrzymia ryba, którą wiatr kołysze. Jestto obraz ryby narodowej, mającej ogromną siłę, której wizerunki w pewne święta zawieszają się na domach, tak jak u nas hojny. Na prawo i lewo w ogrodzie są główne budynki, w których urządzono bazy. Sprzedają w nich wyroby krajowe: towary jedwabne, wyroby ze słomy, porcelanę,

wyroby metalowe, tytoń. Zewnętrzna ściana tych bazarów urządzona jest podobnie, jak ściany naw bibliotecznych u nas, które się rozsuwają, dla tego też nie ma w niej okien.

Ten oddział wschodni, wraz z galeryami wschodniemi w pałacu wystawy, do których i część rosyjskiej wystawy należy — dał powód i uzasadnienie do głoszenia o zbliżeniu się wschodu, o zapoznaniu się Europy ze wschodem po raz pierwszy dopiero na taką skalę zapomocą wystawy wiedeńskiej itp. Jestto, według mego zdania, dziennikarska blaga i reklama. Jeżeli zależy Austrii na tem, aby bliżej zawiązać stosunki ze wschodem, zwłaszcza handlowe, to przecież na to wystawy nie potrzeba, a kosztta ogromne, które opisane ciekawości pochłonęły, mogłyby być zaprawdę lepiej użyte w wspomnionym celu. Zawiązał się specjalny komitet w Wiedniu dla tych interesów — szkoda, że się nie zawiązał już dawno, i że nie ułatwiono mu działania przez subwencje na podróż, wydawnictwa, urządzenie wywozu i przywozu — to byłoby ekonomiczne działanie. Wystawa zaś, taka, jaką jest, jest, musimy to powtórzyć, tylko zbytową, za drogą, bezużyteczną zabawką. Niestety, pałac wystawy utwierdzi nas jeszcze bardziej w tem mniemaniu. Daleko atoli mamy jeszcze przebyć drogę, nim tam dojdziemy — bośmy za ledwo dopiero jakąś część parku zwiedzili.

Po drodze, wałęsając się bez przewodnika, bez katalogu, napotyamy wystawy najróżnorodniejsze, tak, że systematu do tego labiryntu wprowadzić niepodobna. Nader zajmujące są wystawy ministerstwa marynarki i towarzystwa Lloyd'a. Widzimy tu modele wszelakich łodzi, bark, statków żaglowych i parowych, przekroje statków, które przedstawiają całe wewnętrzne urządzenie kabin, okazy wszelkich przyrządów okrętowych, olbrzymie helissy, kotwice, wiosła, aparata do mierzenia głębokości, wiszące lampy, manekin nurka — który miał na paryskiej wystawie osobny budynek napełniony wodą, zaopatrzone w okna, przez które publiczność robocie nurka na dnie się przyglądała — dalej liny okrętowe z przyrządem do rzucania ich rozbitkom, tuba sygnałowa mosiężna, do 3 sążni długa, z której wydobywa się przerażający głos przez szybki obrót wentyla metalowego, wewnątrz się znajdującego. Tubą tą daje się znaki na kilka mil odległości, nią też sygnalizują wieczorem godzinę siódmą, jako termin zamknięcia wystawy. Bardzo bogata jest też wystawa zoologiczna morza adryatyckiego, urządzona przez dr. Syrskiego, kustosa muzeum w Tryeście: ryby, żółwie, wszelkie płazy i mięczaki, olbrzymie haje, różne potwory morskie są tu wypchane w całej swej okazałości. Zajmujące są też okazy budowania wodnego, zdobywania gruntu przez sypanie, zwłaszcza w portach, tak zwanego strąconego pokładu, massy kamieni pomiędzy pale tak długo, aż się utworzy fundament wieczysty, sięgający nad

powierzchnię morza, a na nim dopiero stają mury dla budynków. Pominęliśmy w opisie dwa wspomniane pawilony, bo są sobie pokrewne. W związku też z niemi stoją latarnie morskie, jedyny ratunek żeglarzy wśród burzy i nocy. Są tu wielkie budynki, gdyż na dole umieszczoną jest kuchnia parowa, która wprawia w ruch wentyl w tubie sygnałowej, będącej częścią składową kompletnej latarni, ma ona tutaj 8 stóp długości. Na wysokiej wieży jest właściwa latarnia z światłem olejnym, kondensowanem przez pryzmy i soczewki, a nabierajacem mocy przez reflektor i dzwon szklany — albo też jest światło elektryczne, wydobyte przez baterią galwaniczną. Na płaskim dachu znajduje się semaphor, to jest telegraf morski optyczny, złożony tylko z czterech skrzydeł, których kombinacje dają cały alfabet.

Austria popisuje się na wystawie znakomicie sztuką żeglarską, lecz ten popis nie odpowiada wcale potędze floty austriackiej; widać jednak, że są umiejętne starania w tym kierunku — w każdym razie dla publiczności mają te wystawy wiele uroku i są pouczające. Mając zakończyć dzisiejszą wędrowkę z powodu zmęczenia, którego zapewne już i czytelnicy doznają — mimowoli po drodze jeszcze zatrzymać się musimy — zabłądziliśmy bowiem, szukając innego wyjścia z wystawy i utknęliśmy na pawilonie, nazwanym *Kosthalle*. Budynek podzielony jest na małe łoże, w których — wcale nie miano dawać kosztować artykułów w pałacu wystawionych, jak to było w Paryżu — ale gdzie je sprzedają po bajecznie wysokich cenach, n. p. 15 ct. za kieliszek lichego piwa. Jak przy całym urządzeniu wystawy, tak i tu liczone, nie już na zyski, ale na zdzierstwo; za łoże musi wystawca płacić 500 zł. Nic też dziwnego, że się chce odbić na konsumentach — i że połowa budynku stoi pustką. Są tu wyłącznie prawie wiedeńskie produkta wina, piwa, wódki, co nieco i z innych prowincyj austriackich; zagraniczną łożę widzieliśmy tylko jedną z rybami, owocami i winami portugalskimi. Halla ta więc wcale nie może mieć pretensji do charakteru międzynarodowego. Zwraca tu jeszcze uwagę łoża z mlekiem kondensowanem, w puszkach blaszanych — wyrób angielski — ale kupiec zdaje mi się wiedeński. Jest to produkt wyborny, godny polecenia nie tylko dla wojska i na okręta, ale dla mieszkańców większych miast, gdzie wogóle trudno o mleko, a jeszcze trudniej o dobre. Jest to masa gęsta, pocukrzona dla trwałości, która powstaje po wyparowaniu wody z mleka niezbieranego. Rozpuszcza się z łatwością w wodzie zimnej lub ciepłej; od ilości masy zależy wytworzenie śmietanki lub mleka wyborowego, a zaręczamy to z własnego doświadczenia. Puskę półkwartową sprzedają po 1 złr.

Nawracając ku głównemu wyjściu, obejrzymy jeszcze dzisiaj pawilon cesarski. Utrzymują, że jestto w mi-

niaturze pałac wystawy, z rotundą i całym podziałem; nie mogliśmy tego się dōpatrzeć, lubo styl budynku, ciężki, niesmaczny, istotne pokrewieństwo z pałacem okazuje. Jakiżto cudny, lekki, przejrzysty, prawie przenośny, jasny, ze szkła i żelaza, kąpiący się w kwiatowych tapetach był pawilon cesarzowej na wystawie paryskiej. Tutaj mamy budynek niski, duszny, lubo bogaty i pełen pięknych szczegółów. Dwa fronty ozdobione są kolumnadą, po trzech stopniach wchodzi się do wytwornych sal; salon audyencyonalny obity jedwabnemi czerwonymi tapetami, kolumny z płomienno marmuru; salon cesarza obity ciemnymi aksamitnymi tapetami, rosety złożone, pilastry, oddrzwia marmurowe; salon cesarzowej obity jasnoniebieskimi tapetami, wykładanemi srebrem; po bokach salony dla arcyksiężąt i arcyksiężniczek, dla świty — sufity malowane przez znakomitych artystów. Szkoda, że zewnętrzny pozór budynku wcale nie harmoniuje z wewnętrznym gustem i elegancją.

Cóż się stanie z tym budynkiem po wystawie? — zburzą, a co się da, sprzedadzą, żeby pokryć deficyt kasy wystawowej.

Marnotrawiono miliony na zbyt kowe dekoracje, na ramy do wystawy — niewiele dbano o samą wystawę, o jej treść, byle pozorami i rozmiarami świecić. Dla tego też zwłaszcza pałac wystawowy przedstawia braki i niedogodności — a kasa wystawy pustki — bo publiczność mniej zwiedza wystawę, niż ona na to zasługuje, mimo to wszystko, co jej można zarzucić.

W przedmiotowym związku z pawilonem ministerstwa marynarki stoją pawilony towarzystw: żeglugi parowej po Dunaju i kilku kolei żelaznych. Obok urządzeń transportowych są tutaj głównym przedmiotem wystawy okazy węgla kamiennego, żelaza, stali z różnych kopalni i hut — węgiel i żelazo, dwa produkta, które wraz z wodą są sprężynami, za pomocą których myśl ludzka światem porusza.

Obeliski z węgla i z lin okrętowych, modele statków osobowych i towarowych, puszczane w ruch olbrzymie maszyny parowe, popędzające szrubę prującą wodę, która ma podobieństwo do skrzydeł przy młynach wietrznych, wreszcie mapy, tabele statystyczne i wykazy postępów nauki w szkołach urządzonych przy kopalniach — to są okazy najciekawsze w pawilonie żeglugi.

Koleje żelazne popisują się także węglami, okazami żelaza, blach, stali i szyn — wystawione są całe t. z. weichy, od których ustawienia zależy bezpieczeństwo jazdy, lokomotywy, całe urządzenie stacyi kolejowej, bióra, sale, perron, telegraf — mechaniczne zaś urządzenia, ulepszenia i wynalazki są w halli maszyn.

Zanim pójdziemy dalej, wypada nam jeszcze wrócić się dla oglądnięcia dwóch pawilonów, które na krańcu

parku w pobliżu domków ludowych umieszczono — a otwarto je dopiero w lipcu.

Pawilon dla malowania na szkle ma całe ściany szklane, a na nich obrazy kolorowe. Niektóre z nich są bardzo piękne — lecz oglądanie nie może dać rękojmi trwałości. Sztuka malowania na szkle, której okazy z wieków średnich do dziś dnia po kościołach zachowują świeżość barw, upadła następnie prawie zupełnie. Dzisiaj umiejają malować na szkle, ale po kilku latach powietrze i wilgoć zaciera barwy lub całkiem splukuje. W pawilonie tym umieszczony jest także, jako okaz sztuki kościelnej, ołtarz rzeźbiony z kamienia pińczowskiego p. Stehlika z Krakowa. Ołtarz jest gotycki, bardzo piękny rysunek, ornamentyka bogata, ozdobiony obrazami pędzla Szynalewskiego. Umysłnie dla tego ołtarza musiano dać w tym pawilonie kawałek ściany marmurowej, żeby go można było umocować na żelaznych hakach. Wyjątek ten nastąpił w skutek zajścia zbyt charakterystycznego, żebym go tu nie miał opowiedzieć: Niejaki Giani, kupiec przedmiotów kościelnych w Wiedniu, zażądał, żeby p. Stehlik wystawił swój ołtarz w kościele żelaznym, który tenże Giani miał na wystawie urządzić — czyli żeby mu p. Stehlik jego przedmiot udekorował. Oczywiście Stehlik odmówił i żądał osobnego dla siebie miejsca. Gdy dyrekcya wystawy rozesłała komisjom krajowym rozdział i przyzwolenie miejsc — Stehlika w wykazach tych zupełnie pominięto. Toczyła się to korespondencya pisana i telegraficzna przez 3 miesiące, atoli bez skutku, bez żadnej odpowiedzi. Stehlik zmuszony był pojechać do Wiednia, i tam dopiero przez osoby wpływowe stwierdził, jak się rzecz miała. Oto referentem działu sztuki kościelnej w dyrekcji wystawy był właściwie ów kupiec Giani, który też wszystkie korespondencje chował, nikomu ich nie pokazując, a to w tym celu, aby zmusić Stehlika do powolności jego prywatnym żądaniom. Sprawa się wydała, i musiano wreszcie wyszukać jeszcze dla Stehlika miejsce bodaj w pawilonie szklannym.

W pobliżu zbudowano pawilon sanitarny pod godłem „czerwonego krzyża“ — przyjętém przez konwencyą genewską.

Wystawę tę urządziły różne towarzystwa pomocy dla rannych. Są tu wszelakie przyrządy ratunku, bandaże, szarpie, narzędzia chirurgiczne, torby do noszenia ich, cały pociąg kolejowy dla rannych i chorych, wagony magazynowe, prowiantowe, dla lekarzy, dla służby, ambulansowe. W wagonach dla chorych są łóżka na pasach zawieszane, tak że chory żadnego uderzenia nie czuje; dalej są tu mary, furgony, polowe apteki i kuchnie, bielizna, namioty. Lipowski z Heidelbergu wystawił tu liczne i rozmaite mary do noszenia i na kołach i do wykładania na wozy ambulansowe.

Wykazy postępu sztuki chirurgicznej są tu również

plastycznie ilustrowane — słowem znajdujemy tu cały obraz wszystkich sposobów pomocy i opieki dla rannych i chorych podczas wojny. Należało się zaprawdę, aby obok rozwielenia się na wystawie, tak jak na świecie, dział Kruppa, odtłocówek i kartaczownic, nie zapomniano i gojenia ran tych niewolników na jatki pędzonych.

A teraz wstąpimy do pawilonu, na którym widny jest napis: „Erzeugung einer grossen Zeitung“ — jak się robi wielki dziennik.

Pawilon ten postawiła sobie dla reklamy wściekła nasza nieprzyjaciółka, Neue freie Presse. W tym pawilonie piętrowym drukuje się w oczach publiczności dziennik wystawowy, dodawany do nowej Pressy. Jest to cały, wielki zakład, zbudowany ogromnym kosztem — liczono bowiem na to, że monitora wystawowego będą sprzedawać codziennie po 100,000 egz. — że się zatem koszt opłaci. Omylono się — sprzedają zaledwo po 100 do 150 egz. — niemniej jednak reklama się udała, medal zdobyto, a sam pawilon jest jednym z najciekawszych.

Na piętrze są bióra redakcyjne, biblioteka, sale ustępowe itp.

Telegraf i tuby łączą piętro z zecernią pod niem umieszczoną. Na dole najważniejszym przedmiotem jest maszyna drukarska, niezmiernie sprytnego systemu. Poru-

szana wodą ma siłę 10 koni. Aparat drukarski jest tak urządony, że usuwa wszelką ręczną pomoc. Ponad maszyną zawieszona jest sztuka płótna, walec papieru długi 20,000 staj, 4 szeroki — Maszyna odwija papier, odcina arkusz za arkuszem, owija go na walec metalowy, naokoło którego ułożony jest w odlewanych codziennych stereotypach tekst gazety, sama stereotypy zaczerpnia i drukuje. Arkusz zadrukowany bierze maszyna i składa, posuwając coraz dalej, za pomocą drewnianych noży na format ćwiartki, i tak złożony układa do kosza, z kądem gotowy numer bierze się do ekspedycji. Między takim wygotowaniem jednego a drugiego arkusza nie ma żadnej przerwy — bo ciągle nowy arkusz na stereotyp się nawija i zostaje dalej posuwany w różne strony, tak, że równocześnie układa maszyna 8 egz. do koszów z wszystkich stron ustawionych. Tym sposobem może ona w dwie godziny wydrukować i złożyć 20,000 egz. Jest to widok nadzwyczaj zajmujący — zdaje się, że jest to szczyt możliwości — palce drewniane pracują z gramatyczną akuratacją — chyba że jeszcze maszyny do składania czcionek okażą się kiedyś praktycznymi, bo dotąd robiono próby dopiero — i widać, że te jeszcze nie zadawalniają, jak skoro tych maszyn nie ma na wystawie.

U KOLEBKI.

Synku mój! dlaczego we śnie
Drżysz, jak gdybyś śnił boleśnie,
Co ci szepce Anioł-Stróż?
Śniesz, że rzucasz dom rodzinny! —
O mój cichy! mój niewinny!
Mówi drżące serca bicie,
Że cię trwoży bojów życie,
Bez kwiatów i róż!

Smiało! naprzód! orle młody!
Precz z tęsknicą, precz ze łzą! —
Wytrwałością zwalcz zawody,
Choć cierpienia piersi rwą,
Nie upadaj w ciężkiej próbie,
Bóg na ciebie patrzy z wyż;
Niechaj wzorem będzie tobie
Życie jego, jego krzyż!..
Luli! dziecino kochana!
Aa! aa! synku nasz!..
Ale cóżbo? we śnie zmiana,
Rozmaite dziś sny masz!..

Synku mój! na twojem czole
Widzę smutki, widzę bole,
Lecz łzy słabej nie ma tam...
Idziesz naprzód, nie rozpaczasz,
Kochasz, cierpisz i przebaczasz!
Chcesz zanucić pieśń natchnioną...
Bije serce, kipi łono:
Cóż zaśpiewasz nam?

Zabrzmij pieśnią wieszczu młody,
Silne tony w pieśnię wlej! —
Hymn pokoju, hymn swobody,
Zmartwychwstania hymn nam piej! —
Wznów przeszłości zmarłe dzieje,
Słabym męstwo w pomoc nieś,
Wskrześ zamarłą w nas nadzieję,
Zamarłego ducha wskrześ!
Luli! dziecino kochana!
Aa! aa! synku nasz!
Ale znowu we śnie zmiana —
Rozmaite dziś sny masz!..

O! mój synku! twoje czoło
Oplotło się w marzeń koło,
Promienieje szczęściem twarz!
Sny rokoszne myśl twa goni —
Snisz, że w swojej trzymasz dłoni
Dłoń kochanki! O dziecino!
Nim promienne sny przepłyną,
Ty kochaj i marz!

Miłość twoja niechaj będzie
Jak łza rosy czysta tak —
Goń, pędź za nią, szukaj wszędzie,
Jak w powietrzu muszki ptak —
O! pędź za nią! igraj mile,
Szczęścia, raję szukaj tam!
Bo to miłość choć na chwilę
Opromienia życie nam! —
Luli! dziecino kochana!
Aa! aa! synku nasz!
Ale znowu we śnie zmiana! —
Rozmaite dziś sny masz!

Czemu ściągasz brew, maleńki?
Co tak słuchasz? czyli dźwięki
Rajskich pieśni płyną tu? —
Widzisz! jakby chmur łańcuchy,
Twoich ojców idą duchy,
Każą rzucić dłoń kochanki,
Wiodą ciebie w bojów szranki
Z czarownego snu!

O! spiesz dziecię na bój chwały,
Za duchami w ślady płyn —
Leć, gdzie leci Orzeł biały,
Wróc zwycięzcą — albo zgiń!
A gdy kula pierś rozporze,
Patrzaj w niebo — tam, gdzie on!
Niech ci czoła ból nie orze,
Za ojczyznę piękny zgon!
Luli! dziecino kochana!
Aa! aa! synku nasz!
Spij spokojnie, aż do rana,
Przeżegnanie do snu masz!

Kazimierz Gł i.

ODZYSKANIE MIASTA KOLDYNGI PRZEZ STEF. CZARNIECKIEGO,

w Grudniu 1658 roku.

(Obacz rycinę na st. 265.)

W pamiętnem najściu Szwedów pod Karolem Gustawem, zwycięstwa Czarnieckiego, co to zniecka spadać umiał wszędy jak piorun i druzgotać nieprzygotowanych, już większą część kraju z nieprzyjaciół oczyścili. Gasnęła widocznie gwiazda śmiałego zaborcy szwedzkiego; bo chociaż z jednej strony pozyskał nowego sprzymierzeńca w Rakocym, księciu siedmiogrodzkim, była to pomoc niedołężna i zawodna, a z drugiej za to mnożyli się przeciwnicy. — Ze Szwecyi nadeszła wiadomość o rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich przez króla duńskiego Fryderyka III, który już opanował Bremę. Między Austryją a Polską stanęło w Wiedniu (27 maja 1657) przymierze dziesięcioletnie, którem cesarz Leopold zobowiązał się dostarczyć Rzeczypospolitej 17000 wojska posiłkowego. Elektor brandeburski pokojem welawskim (19 września 1657) odstąpił od związku ze Szwedem i przeznaczył na usługi Jana Kazimierza 6000 zbrojnych. Już Małopolska, Wielkopolska, Mazowsze i Podlasie wyparły z swych granic najezdników; tylko w Prusach królewskich tkwili jeszcze Szwedzi, trzymając zwłaszcza porty, z wyjątkiem wernego Gdańska. Należało korzystać z okoliczności i przemieścić widownię wojny w kraj nieprzyjacielski.

Według umowy pomiędzy sprzymierzonymi, połączone wojska cesarskie, brandeburskie i polskie, pod naczelnem dowództwem elektora, udać się miały do Szleswigu, w pomoc królowi duńskiemu. Hr. Montecuculi prowadził 14000 Austryaków, elektor 12000 Brandeburczyków, Czarniecki zaś z Opalińskim 6000 wyborowej jazdy polskiej. Były tam między innymi chorągwie: królewska huzarska, porucznik Michał Wojniłowicz; Czarnieckiego husarska, porucznik Pągowski; pancerna tegoż, porucznik Piotr Mężyński; Leszczyńskiego krajczego kor., porucznik Władysław Skóraszowski; Branickiego podstolego kor., porucznik Kazimierz Kułak; Myszkowskiego, porucznik Paweł Borzęcki. Prócz tego stanęło w jej szeregach wielu ze znakomitszej szlachty, jak: Adam Działyński, Franciszek Czarnkowski, Kazimierz Piasoczyński, Aleksander Polanowski, Mikołaj Kozubski i inni. Oddziały te, wyruszywszy trzema szlakami, wkroczyły przez Holsztyn do księstwa szleswickiego i dopiero 14 listopada 1658 złączyły się w północnej jego części, pod miastem Hadersleben.

Szwedzi, trzymając od północy miasto Koldyngę, od południa zaś wyspę Alsen, panowali tym sposobem nad całym przepływem małego Bełtu; pierwszym więc usiło-

waniem sprzymierzonych musiało być wyparowanie przeciwników z tych punktów, ażeby przepawić się do Fionii, ztamtąd przez wielki Bełt do Zelandyi i zabrać tył Szwedom, oblęganym Kopenhage.

Zaraz też, mimo pory spóźnionej, elektor z Czarnieckim posunęli się od Hadersleben ku Koldyndze, leżącej po tamtej stronie wąskiej, głęboko na zachód między Szlezwigiem a Jutlandyą wkraczającej zatoki Bełtu. Za przybyciem do zatoki, piechota brandeburska i austriacka zaczęła przepawiać się czółnami i trzema okrętami, lecz Szwedzi z brzegu przeciwnego gęsto ogniem działowym prażyli, i ledwo mały oddział austriacki zdołał gdzieś z boku wylądować. Ubolewał elektor przed Czarnieckim, że piechota tak cierpi, a jazda dla braku statków, na drugą stronę dostać się nie może. Czarniecki wziął to za przymówkę; a że umiał doskonale obywać się bez czółen i mostów, jak tego już dawniej nieraz dawał dowody, więc przypadłszy do wojska, zawołał: „Mości panowie! Umieliśmy przez głębokie topiele i szerokie rzeki przepływać; spróbujmyż odnogi morza, a pokażmy w cudzem państwie, co umieją Polacy!” To rzekłszy, każe jeźdźcom rozkubaczyć konie, wniść samym do łodzi, a konie wpław puścić, trzymając je za cugle. Dwanaście chorągwi polskich przepawia się tym sposobem bez szwanku, a Niemcy, zachęceni przykładem, rzucają się w ślad za nimi. Tymczasem też piechota już na dobre z okrętów wysiadała, a załoga koldyngska, na widok przeważnej siły, spiesznie miasto opuszcza. Czarniecki, kazawszy osiedlać mokre i trzęsące się od zimna konie, w pasowej delii tureckiej dosiada swego taranta i rusza w pogoń za Szwedem; ale z powodu zapadającej nocy schwytać zdołał jednego tylko kapitana i kilku szeregowców.

Zostawiwszy w Koldyndze oddział piechoty brandeburskiej i cztery chorągwie jazdy polskiej, sprzymierzeni w połowie grudnia powrócili do Szlezwigu, w zamiarze zajęcia wyspy Alsen. Wyspę tę oddziela od lądu przesmyk dość szeroki; ale że w środku było miejsce, gdzie konie mogły zgruntować i odpocząć, Czarniecki przeto, kazawszy z brzegu łód siekierami powyrąbywać, zwyczajem swoim na czele wojska puszcza się wpław. „Sam tedy wojewoda, mówi Pasek, przeżegnałszy się wprzód, w wodę; pułki za nim, których tylko trzy było, nie całe wojsko, każdy za kołnierz zatknąwszy pistolety, a ładownicę uwiązawszy u szyi. Skoro przyplął na środek, stanął i kazał każdej chorągwi odpocząć, a potem dalej. Konie już były do pływania próbowane: który źle pływał, to go między dwóch dobrych mięszano, nie dając mu tonąć. Dzień na szczęście był cichy, ciepły i bez mrozu; już była trochę odwilż poczęła następować, ale zaś potem zima tęga ujęła. Żadna tedy chorągiew nie była jeszcze u lądu, kiedy Szwedzi przypadli i strzelać poczęli; chorągiew też każda, która

wyszła z wody, zaraz na nieprzyjaciela skoczyła. Szwedzi, widząc, że choć dopiero z wody, a przecież strzelba nie zamokła, ale strzela i zabija, w nogi; owych też, co przybywali na pomoc, przerznięli nasi końmi, a dopiero w nich jako w dym.“

Po przeniesieniu statkami piechoty brandeburskiej, sprzymierzeni podstąpili pod Sonderburg, a dobywszy go we trzy dni, pociągnęli na Nordburg. Wzięcie tego miasta przez ubieżenie było niepodobieństwem; musiano więc czekać na armaty; ale gdy te przybyły, zrobiono wkrótce taki wyłom w murze, że przerażony komendant zdał się na łaskę. Tak tedy w przeciągu dni ośmiu wojska związkowe opanowały całą wyspę. Król duński, w ocenieniu, ile dzielność Polaków przyczyniła się do tak szybkiego i świetnego powodzenia, przesłał Czarnieckiemu list własnoręczny, pełen pochlebnych wyrażen, który podajemy tu w tłumaczeniu z Rudawskiego:

*Jaśnie Wielmożny, szczerze nam miły
i ukochany Panie!*

„Doniesiono nam z największem uwielbieniem, że JW. Pan w różnych potyczkach, a świeżo w zajęciu wyspy Alsen i położonych na niej warowni, między trzykroć liczniejsze wojska nieprzyjacielskie gromiąc na czele swoich hufców, dałeś chwalebne i godne podziwienia dowody męstwa prawdziwie bohaterskiego. Jako więc zawsze wieszowaliśmy sobie obecności wodza tyłą czynami słynnego i ocenili w zupełności przyjaźń braterską najjaśniejszego króla polskiego, gdy w pomoc orężowi naszemu przetrzasnął JW. Pana, tak też przychylność naszą królewską, do której zasługami swemi i u nas nabyłeś prawa, niniejszem okazać ci pragniemy, życząc z serca, aby sława JW. Pana wszelakiego rodzaju powodzeniami nietylko w ojczyźnie jego, lecz u postronnych także po całym rozgłośna świecie, szczególnie w tym kraju północnym coraz bardziej się szerzyła. Zresztą bądź JW. Pan przekonany, że wyświadczone nam przysługi wdzięcznie i łaskawie z Bogiem i współczesnymi uznajemy.

Dan w zamku naszym królewskim w Kopenhadze, dnia 24 grudnia 1658 r.

JW. Pana przychylny *Fryderyk* król.

Tymczasem Szwedzi, trzymający twierdzę nadmorską Fryderycyą (Friedrichs-Odde) niedaleko Koldyngi, upatrzywszy sobie porę sposobną, napadli zniemacka na zostawioną tam załogę sprzymierzonych i miasto odebrali. — W samo Boże Narodzenie Polacy, stojący obozem pod miastem Aarhus w Jutlandyi (dokąd się Czarniecki po powrocie z wyspy Alsen na ląd stały zapędził), odprawiali właśnie zwykłe nabożeństwo, kiedy się ukazała jazda szwedzka. Najprzód dawały odpór przednie tylko straż, lecz wkrótce bitwa stała się ogólną: Polacy łamią nieprzyjaciół, puszczają się za nimi w pogoń i dopadają aż

pod Koldyngę. Nie mieli nasi armat, ani żadnych przyborów oblężniczych. Czarniecki jednak, niewiele myśląc, każe chorągwiom i luźnej czeladzi porozdawać siekiery, zasłaniać piersi snopami słomy od wystrzałów z ręcznej broni, i pędem rzucać się na wały. „Niechże was Bóg ma w swojej opiece i imię jego święte! — zawołał. Ruszajcież, a jak przez fosę przeprawicie się, skoczcie pod mury we wszystkim biegu, bo już wam pod murami nie mogą tak szkodzić.“ — „Skorośmy tedy do fossy przyszli, opowiada Pasek, okrutnie poczęły parzyć owe snopy słomy. Już się czeladzi trzymać uprzykrzyło, i poczęli je ciskać w fosę. Jaki taki, obaczywszy piérwszych, także to uczynił, i wyrównali owę fosę tak, że już daleko lepiej było przeprawiać się tym, co na ostatku szli, niżeli nam, cośmy szli w przodzie z pułku królewskiego; bo źle było z owemi snopami drapać się do góry po śniegu na wał; kto jednak swój wyniósł, znajdował w nim kulę, co i do połowy nie przewierciała.“ Pomysł ten prosty, lecz trafny niezmiernie w ówczesnym stanie sztuki wojennej, wiele się przyczynił do szybkiego i niekrwawego zwycięstwa. Dopadłszy nasi pod mury, wrąbują się siekierami przez jakieś okienko zakratowane, a jednocześnie prawie bramą wpada do miasta podpułkownik Tetwin z dragonami. Załogę całą w pień wycięto i znaczną zabrano zdobycz; ale gdy zwycięzcy, rozbiwszy skład prochu, czapkami i chustkami, jak kto może, wynosić proch zaczynają, jeden z dragonów lontem od muszkietu zapuszcza przez nieostrożność ogień i wysadza w powietrze część zamku. Była tam między innymi wieża na samym rogu nad morzem, do której

schronił się komendant ze starszyzną, prosząc o darowanie życia; lecz trafem nieszczęśliwym w tym właśnie miejscu zapaliły się prochy, i wieża, ze wszystkimi, co się w niej znajdowali, wyleciała w powietrze. „Chcieli niebożęta przed Polakami uciec do nieba, (powiada z przedziwną naiwnością nieoceniony nasz kronikarz-humorysta, p. Jan Chryzostom Pasek), ale ich tam nie puszczone. Piotr św. przywarł zaraz furtkę, mówiąc: A wszak wy zdrajcy powiadacie, że świętych łaska na nic się nie przygodzi, instancja ich do Pana Boga nieważna i niepotrzebna. W kościołach w Krakowie chcieliście stawiać konie, straszając jezuitów, aż wam musieli nieboraczkowie złożyć się na okupno, jako poganinom. Pamiętacie, coście w sandomierskim zamku zdradziecko prochy na Polaków podsadzali, a przecie Pan Bóg obronił od śmierci, kogo miał obronić: wyrzucił prochy pana Bobolę, szlachcica tamecznego, z koniem aż za Wisłę na drugą stronę, a przecież zdrowy został. I teraz strzelaliście gęsto, a niewieleście Polaków nabili; czemu? bo ich aniołowie strzegą, a was czarny. A toż macie jego usługę.“

Dalsze działania wojsk sprzymierzonych w Danii jak: zdobycie twierdzy Fryderycy w Jutlandyi, usiłowana wyprawa na wyspę Fionią i t. p., nie wchodzą w zakres niniejszego artykułu. Mielśmy tylko zamiar opisanja dwóch świetnych epizodów wojennych, których rocznica dwóchsetna 15ta wkrótce przypada, a które szeroko po Europie rozniosły sławę oręża polskiego i imię naszego bohatera, co to wyrósł *nie z soli ani z roli, ale z tego co boli.*

L. J.

Kronika literacka i artystyczna.

Lwów 15 września 1873.

(Nowe usiłowania na polu literatury peryodycznej, czyli: prawiłowa jesień. — „Promyk“ chce świecić bądź co bądź. — Agatona Gillera „Polska na wystawie powszechnej w Wiedniu r. 1873“. — Nowiny teatralne. — Konkurs na sztuki dla teatrzyków dziecińczych.)

Jesień bywa zwykle wiosną w przyrodzie drukarsko-księgarskiej; w tę porę bowiem najwięcej podobno wykwiata nowych już to pomysłów, już też faktów literackich, najwięcej ku utrapieniu spokojnych ludzi tej ziemi pojawia się wydawnictw. Rok miniony w ostatnim dziesięcioletnim okresie naszej literatury peryodycznej stanowił pod tym względem jakiś fenomenalny zaprawdę wyjątek, gdyż nietylko że w ostatnim swym kwartale nie obdarzył nas żadnem zgoła nowem czasopismem, lecz przeciwnie pochłonął dwoje własnych dzieci z pierwszego kwartalu: „Świt“ i „Promyk“. Zdawało się, że już raz nareszcie sześciomilionowy kraj ten swobodnie będzie mógł sobie odetchnąć po nadzwyczajnych wysileniach, jakie czynił przez lat dziewięć z niezmordowaną wytrwałością, celem zrzucenia

z siebie takich brzemion nieznośnych, jak „Dziennik literacki“, „Nowiny“, „Mrówka“, „Wola“, wreszcie „Świt“ itp.; zdawało się, że nareszcie obywatele tego kraju sześćo-milionowego „ostaną w pokoju“ przed taką siłą nieczystą, jaką jest literatura peryodyczna, że uwolnieni będą od haraczu prenumeracyjnego i trudu czytowania czegoś, oprócz kursów giełdy wiedeńskiej, że dozwolonem im będzie zaszanovać wzrok, tyle cierpiący od zadrukowanych szpargałów... Aliści dyabeł nie spi — jak powiada stare przysłowie; — nie spi, i w rzeczy samej znowu w porozumieniu z byłym redaktorem „Promyka“, zagiął parol na ciebie nieboraku, Galicyo! Nie wątpimy, że wszelkimi siłami opierać się będziesz nowemu zamachowi temu na twą błogą — drzymkę, z góry jednak winniśmy cię ostrzedz, że się tym razem spotkasz z spiskiem dobrze zorganizowanym i do pokonania nie łatwym; pan Władysław Belza bowiem wziął się młode twe pokolenie tak otoczył „Promykami“, żeby na przyszłość wydobyć się mogło z ciemności egipskich, w jakich tak bardzo się lubują starsze

two pokolenia. Stojącym poza sferą tych miłych ciemności egipskich szanownym czytelnikom naszym wręcz powiemy, że „Promyk“ pod redakcją pana Bełzy, którego prace dla dzieci tak mile są przyjmowane, wychodzić zacznie z dniem 1. października nanowo, że najlepsze siły literackie przyrzekły pisemku temu swą pomoc, i że w księgarni F. H. Richtera zapnumerować je można tak w miejscu jak i z prowincji po cenie niższej, 1 zł. — Oprócz „Promyka“ zanoszą się podobno na jeszcze jedną nowalią w tym rodzaju, ale to prawdopodobnie aż z Nowym rokiem; nie będziemy przeto już dziś rzucać popłochu w szeregi szczęśliwych nieczytelników galicyjskich; bodaj na trzy miesiące jeszcze oszczędzimy im złej myśli.

Autor listów o udziale polskim w powszechnej wystawie wiedeńskiej, drukowanych w „Gaz. Nar.“, p. Agaton Giller, spełnił wyrażone przez nas życzenie, i oddał publiczności cenną swą pracę odbitą w osobnej książce. Pierwszy tom „Polski na wystawie powszechnej w Wiedniu w roku 1873“ opuścił w tych dniach prasę i rozesłany został prenumeratom; zawiera listów 23, znacznie rozszerzonych i uzupełnionych w stosunku do pierwotnego tekstu. Tom drugi znacznie większy pod względem objętości od pierwszego, wkrótce się ukaże, a prócz dalszego szeregu listów zawierać będzie także imienny spis wystawców polskich, odszczególnionych medalami lub dyplomami honorowymi. Potrzebaż jeszcze polecać czytelnikom to dzieło, jedyne w swoim rodzaju i pamiątkowe? Wybierającym się teraz na wystawę służyć ono może także za wyborną wskazówkę i tłumacza przy zwiedzaniu takowej, cena zaś dwóch tych tomów taka jest przystępna, że się w nie każdy z łatwością zaopatrzyć może; w drodze przedpłaty, którą przyjmuje Administracja „Gaz. Nar.“, kosztuje ono 1 zł. 50 ct. aż do wyjścia z pod prasy II tomu.

Na polu artystycznym i naukowym cisza.... Straszny gość azjatycki spowodował odroczenie otwarcia szkół do 1. października, przeto i towarzyszący zwykle temu otwarciu ruch z początkiem września, poszedł w odwłokę.

Znów jedna tylko Melpomena dotrzymuje nam pola w tych czasach. Pożądane oddawna rozłączenie zarządu dramatu i komedii od opery i operetki z początkiem bieżącego miesiąca stało się faktem. Dyrekcją dramatu na własną odpowiedzialność objął hr. Cetner, opery hr. Łoś. Że prowadzenie takie na osobny rachunek wyjdzie na korzyść zarówno jednej jak i drugiej sztuki, nie ulega wątpliwości; w każdym razie bodaj przekonamy się po jakimś czasie, o ile opera i dramat u nas utrzymać się mogą o własnych siłach.

Przedstawiono kilka sztuk nowych, mianowicie komedye: 5aktową Witolda hr. Borkowskiego p. t. „Spisek salonowy“, i p. Michała Bałuckiego „Emancypowane“, premiiowaną na ostatnim konkursie krakowskim; oraz tłumaczoną z francuzkiego pp. Meilhac i Halevy p. t. „Tricoche i Cacolet“. Nie podobna nam wdawać się w szczegółowe ocenienie tych sztuk; zaznaczymy więc tylko co do pierwszych, że znalazły bardzo dobre przyjęcie, na które w rzeczy samej zasłużyły swą wartością wewnętrzną. Tak „Spisek salonowy“ jak i „Emancypowanie“ zapewnione mają miejsce w repertoarze scen polskich jako trafne odbicia naszych stosunków społecznych; komedya hr. Borkowskiego Witolda odznacza się nadto bardzo szlachetną tenden-

cją. — Przesadny aż do płaskości utwor pp. Meilhac i Halevy, a to tak pod względem typów jak i zwikłań i frazesów dyalogowych, rozśmiesza jednak „do rozpuku“, dlatego trzy razy z kolei przedstawiony został przed zapełnioną salą.

Przypominamy panom autorom, że ogłoszony przez księgarnię Polską konkurs na utwory sceniczne dla teatrzyków dzieciennych, z dniem 30 b. m. upływa. Dotychczas zaledwie cztery sztuki takie nadeszły do komisji.

B. K.

Wiedeń, z końcem sierpnia.

(Dzieła reprezentujące sztukę na wystawie. — Rzeczy polskie i Polskę obchodzące. — Zachwianie się dziennika „Le Danube“. — Głosy polskie na wystawie. — Rosyjski oddział sztuk pięknych: Grupa Kameńskiego).

List ten odbieracie z Wiednia, zatem domyśleć się łatwo, że mając przed sobą wystawę i takie nagromadzenie dzieł sztuki współczesnej, pod świeżym wrażeniem jej twórców o czym innem pisać nie mogę, tylko o niej i o Wiedniu. Pomimo wieści o stosunkowo szczupłej liczbie zwiedzających wystawę, przyznaję się, że w ciągu kilkodniowego pobytu zdumionym był ciągle i jestem obojętnością europejskiego świata, tak tłumnie cisnącego się niegdyś do Paryża, tak niechętnie i opieszale przybywającego do Wiednia. — Biedni spekulatorowie tutejsi ogromnego doznali zawodu, ale z przybyłych z pewnością nikt się nie poskarży na wystawę samą, która jest olbrzymią i szerokie pole daje do studyów. Sama sztuka majestatem reprezentowaną jest we Wiedniu i na wystawie i dopełniającami ją wielkimi przepysznymi dwoma dziełami, Kaulbacha Neronem i Hansa Makarta Katarzyną Cornaro. Kaulbacha karton objędzie pewnie Europę, świadcząc, że wielki mistrz nie stracił dawnej swej twórczej potęgi. Makart, cudowny kolorysta, któremu słusznie zarzucano słabość kompozycji i brak obmyślenia, w utworze tym objawił się nam w zupełnie nowym i niespodzianem świetle, nietylko jako niezrównany kolorysta, jako prawowity syn Pawła Weronezjusza, ale jako znakomity kompozytor i rysownik. Jego Katarzyna Cornaro jako malowanie, jako obraz, koloryt, jako czar barwy, światła i cieni nieochybnie palmę bierze przed wszystkimi. Potężny w swym rodzaju Matejko porównania z nim nie wytrzymuje, tem mniej mdły Pilloty, a nawet silny i barwny Richter. Makart jako kolorysta jest pierwszy swojego wieku — bez najmniejszej przesady. Technika jego jest czemś rzeczywiście zachwycającem. W kompozycji tej naśladował dobrowolnie Pawła Weroneńczyka i zrównał mu niechybnie. Dla jednego tego obrazu warto było odbyć podróż do Wiednia. Jako idea i charakterystyka karton Kaulbacha stoi równie wysoko. Szczególniej cała chrześcijańska część obrazu jest nadzwyczajnej piękności. O obrazach Matejki mówić obszerniej nie potrzebuje, są one i znane u nas i uznane nietylko u nas, ale wszędzie; pisano o nich bardzo wiele, pisać będą więcej jeszcze. Wiedeń pozwala ocenić mistrza w tej chwili daleko lepiej niż kiedykolwiek i gdziekolwiek indziej; znajdują się tu bowiem wszystkie najcenniejsze utwory Matejki: Skarga, Sejm rozbiorowy, Unia, Stefan Batory i kilka portretów, a między niemi

najpiękniejszy historiowany wizerunek dzieci malarza, który jest arcydziełem, godnym Rubensa i Vandycyca. — Równiej z nim niemal wartości jest portret Okszy na wystawie sztuk osobnej (Tuchlauben), gdzie też Kaulbacha, i parę robót pani Jerichau-Baumann znaleźć można. Na wystawie powszechnej znajduje się oprócz tego mnóstwo rzeczy polskich i Polskę obchodzących, które troskliwie wyszukał i spisał p. Agaton Giller w swych wybornych korespondencyach, mających wyjść osobno. Jestto dzieło wielkiej pracy i niemniejszej zasługi, gdyż Polski szukać trzeba jak Polaków po całym rozrzuconych świecie. Wielki obraz Jaroczyńskiego z Poznania wisi naprzykład w belgijskim oddziale, bo mu gdzieindziej gościnności odmówiono. Obok Gallaitów i Leysów trudno, by on techniką swą czynił wielkie wrażenie, ale mu zalet kompozycji odmówić niepodobna. Śliczną scenę z czasów powstania, znaną już z drzeworytu w Bazarze, wystawiła panna Friedrichsen. O drzeworyt ten powinnaby się „Strzecha“ postarać koniecznie. Obraz o wiele przewyższa reprodukcją.

Sztuka wogóle na wystawie powszechnej wiedeńskiej objawiająca się i we właściwych dziełach sztuki i mnogich innych, które w działach przemysłu i rękodzieł są rozsiane, zajmuje przeważne stanowisko. Stan jej w każdym z krajów, które wzięły udział w wystawie, wiąże się ze stanem kultury jego i cywilizacji, i najlepiej je może przedstawia.

Przebiegając sale sztuce poświęcone, nie widzimy wybitnych bardzo różnic charakterów w kunszcie różnych narodów, piętno wieków odbija się we wszystkich zarówno. Tem piętnem jest realizm, który się niekiedy do najwyższej poezji podnosi, częściej bezmyślną tylko fotograficzną prawdą ogranicza. Wszystkie szkoły, jeśli dziś o szkołach mowa być może, są przejęte tym duchem wieku, niewierzącym w idealizowaną i szukaną naturę, pragnącym wiernej, chudej, smętnej, często potwornej ale prawdziwej rzeczywistości. Jak zawsze, niektórzy realizmu użyć umieją, inni go za cel kładną i monstra płodzą. Obrazów religijnych, jak religii w naszym wieku, bardzo mało.

Człowiek występuje powszednio, natura w szatach codziennych i jak najbardziej wypłowiałych. Dawniej uganiano się za efektem, dziś się go unika, raczej szuka w czem innem. Światła niewiele, ciemności, mroki i mgły przeważają mistrzowsko malowane błoto i kałuże, cudownie odwzorowane łachmany. Zmysłowość wciska się nawet tam, gdzieby się jej jak najmniej spodziewać można. Obrazy nie są rozpustne, lecz przeważnie lubieżne na zimno, niekiedy krwią zaprawne dla lepszego smaku. Wielkich myśli, scen poważnych mało, najwięcej powszednich z codziennych żywotów maleńkich ludzi. Portretów mnóstwo, a niektóre z nich przewyborne. Tu z naszych malarzy Matejko, Kapliński, Grabowski i Rodakowski mają najpyszniejsze. Rodakowskiego portret wojskowego jest niezmiernej prawdy i malowany prześlicznie. Wogóle, mimo najrozmaitszych manier, technika sztuki na wystawie wskazuje wirtuozyą, umiejętność, wtajemniczenie we wszystkie arkana nadzwyczajne. Wszyscy niemal doskonale dziś malują, tylko nie wszyscy malowania własnego użyć umieją. Tu przewyborne malowane obrazy nic nie warte. Miernotek mistrzowsko pęzlujących mnóstwo. Przebiegając galerye, wiele się rzeczy dziwnych spotyka. Włochy występujące tryumfalnie z rzeźbami pełnymi wdzięku, w ma-

larstwie nie mają nic prawie godnego wymienienia. Anglicy od wystawy paryskiej są w postępie niezmiernym, Francya nie może nie zyskała, ale też się nie cofnęła, sztuka niemiecka stoi na dawnym stopniu ze starymi znanymi koryfeuszami swymi, Kaulbachem, Pilotym, Knausem i tp. Belgia, może po Leysie i Gallaitcie nie daje nic nowego. Na rosyjskiej wystawie mało jest rzeczy i rzeźba celuje.

Jedno z okrzyczanych arcydzieł, które już z obowiązku chwalić trzeba, dla imienia autora i wyrobionej mu sławy, Meissoniera Napoleon I wśród wojska, gdyby kto inny niem zgrzeszył, uległoby strasznej krytyce. Jestto najniesmaczniejsza w świecie pstrokacizna, której chyba pracowitemu wykonaniu dziwić się można.

Takie uwagi przychodzą przebiegając tę galeryą współczesnych arcydzieł, nauczającą, pełną ciekawych zestawień i porównań, których los sam się tu podjął. Obrazy najróżniejsze, zbite w taką masę, tracą nadzwyczaj wiele, sprzeczą się z sobą, i zamiast się podnosić wzajem, szkodzą sobie ogromnie! Jeden przykład tylko przytoczylibyśmy mogli w umieszczeniu pięknego płótna Siemiradzkiego obok Wiertza. Pierwsze to znane u nas dzieło młodego, pełnego talentu artysty, zwycięzko wychodzi ze zbliżenia do brązowego „Upadku aniołów“. Siemiradzki tylko zbłądził może, zbyt modernizując Magdalenę.

Smutną dosyć we Wiedniu znaleźliśmy wiadomość o nowem zachwianiu się dawnej Gazety des Etrangers, dzisiejszego „le Danube“, pisma przyjaznego nam i bardzo przydatnego wobec niechętniej wogóle prasy europejskiej. Danube, który jak inne pisma z powodu wystawy więcej stracił niż zyskał, przestaje wychodzić codziennie i wraca do dawnej formy tygodniowej. Szkodaby było, żeby to miało zwiastować zniknięcie jedyne go pisma, mogącego polską sprawę w świetle rzeczywistości przedstawiać przed Europą. Byłoby szczególnie w interesie Galicyi i Słowian austriackich, podtrzymać to pismo, dać mu środki i spożytkować je dla stosunków naszych, pozbawionych międzynarodowego organu. Trudno się u was z tem odezwać, gdyż ofiarnością wogóle nie grzeszycie, a krach wiedeński wypróżnił kieszenie wasze, — niemniej jednak co obowiązkiem jest, tego zaprzeczyć i zamilczeć o tem niepodobna.

Na wystawie słyszę mnóstwo polskich głosów, jak zwykle nawet dosyć krzykliwe rozprawiających. Wczoraj spotkałem się tu z sądami nader zabawnymi o obrazie Brandta, z Odsieczy Wiednia, i z wielu innymi dowodzącymi, że pp. Gubrynowicz i Schmidt bardzo w porę wydają rzecz o sztuce, o której u nas ogół ma najdziksze pojęcie! Znalazłyby się one i w innych sferach nauki, wiedzy i ogólnego wykształcenia. Towarzystwo oświaty powinnyby zaprawdę zaczynać od góry, bo nie jeden lud potrzebuje jej, a ci, co oglądają słońca, ciemni są w innych względach, tak że się za nich rumienić potrzeba. Francuzczyzna doskonała, prawią rzeczy dowodzące, iż języka obcego kosztem wielu pilniejszych wiadomości nabyli.

W rosyjskim oddziale piękna grupa Kameńskiego wystawia matkę trwożliwie obejmującą dziecinę, która pierwsze stawi kroki. Nic prostszego nad ten obraz rodzinnego żywota. Zdaje się jednak, że autor chciał mu głębsze nadać znaczenie. Jestto pono Rossya młoda, ucząca się iść o swej sile. Obok

dziecięcia stoi jako porzucona zabawka lokomotywa, której imię Liberty (Swoboda)! Jeśli grupa ta przeznaczoną jest do Rossyi, zabawka zniknąć pewnie będzie musiała, a z nią i głębsze utworu tego pięknego znaczenie.

Nie jeden list, ale książkę całą o sztuce na wystawie

napisaćby można, — ograniczamy się kilku temi słowy, zachęcając tych, co się chcą uczyć, aby z jedynej zręczności teraźniejszej, dopóki pora, korzystali. Drugiej wystawy powszechnej w Europie nie tak rychło spodziewać się możemy.

J. I. KRASZEWSKI.

ZE ŚWIATA.

[Rostropność arabska.] Bej algierski odwiedził pewnego razu miasteczko arabskie Suff, którego mieszkańcy słynęli szeroko z nadzwyczajnej roztropności i dowcipu w wykrywaniu kradzieży. Zapewniono też Beja, że od wielu już lat nie wydarzyła się żadna kradzież w tem miejscu, ponieważ złodziej musiałby być przygotowanym na to, że zostanie natychmiast wytropiony. Bej nie wierzył temu i powziął zamiar, wystawić tę sławną przenikliwość na próbę. Poszedł tedy w nocy potajemnie do ogrodu pewnego bogacza, zerwał rzadki owoc i powrócił wcale niespostrzeżony do swego pomieszkania. Nazajutrz usłyszał skargę, iż popełniono kradzież.

— „No — rzekł Bej — kiedyście tak roztropni, to niezawodnie wkrótce wykryjecie złodzieja.“

Na to wystąpił właściciel ogrodu: — „Sultanie, rzekł, jest nim ktoś, co nie zwykł chodzić boso; ktoś co ma tak delikatne nogi, jak sultan bo ślady wskazują, że nie mógł silnie stąpać i bardzo troskliwie wybierał drogę dla bosych nóg swoich, jestto ktoś, co się tak źle rozumie na tem rzemieśle, jak nasz sultan.“

Bej uśmiechał się. Wiedząc, że ślady bosych nóg na ziemi są prawie wszystkie równe sobie, wyzuł on, jak to czynią złodzieje, swoje trzewiki, ale unikał ostrych kamieni, i po tem odkrył go przenikliwy Arab.

[Jakiemi kobiety powinny być, a jakimi nie]. Homorysta A. Löwenstein skreśliła w oryginalnych prelekcjach swoich następujący program dla kobiet:

Kobiety powinny być jak śnieg, czyste i bez zmazy, i nie takie jak śnieg: nie powinny leżeć na ulicy.

Kobiety powinny być jak księżyc, świetlane i poetyczne; i nie takie jak księżyc: nie powinny być mgłą okrażone.

Kobiety powinny być jak usta, ujmujące; i nie takie jak usta: nigdy nie zagryzione.

Kobiety powinny być jak świeca łojowa, skromnie błyszczące; i nie takie jak świeca: żeby je zawsze oczyszczać potrzeba było.

Kobiety powinny być jak zegarki, postępować z czasem; i nie takie jak zegarki: nie powinny dawać się nakręcać.

Kobiety powinny być jak jutrenka, wczesnie wstawać; i nie takie jak jutrenka: nie powinny mieć powodu do rumienienia się.

Kobiety powinny być jak okręt, wielkie i wzniosłe; i nie takie jak okręt: nie powinny mieć tyle powrozów około siebie.

Kobiety powinny być jak księstwo Nassawskie, tylko małe stanowić państewko; i nie takie jak księstwo Nassawskie: nie powinny tak łatwo dozwalać na anektowanie siebie.

Kobiety powinny być jak porządne parlamentarne zgromadzenie, przyjmować tylko, wtedy wniosek, jeśli jest rzeczywiście dobrym; i nie takie jak parlament: nie powinny iść za większością.

Kobiety powinny być jak Bismark, tak delikatne, robić dowcipne i dyplomatyczne; i nie takie jak Bismark: powinny zdobyć moralne.

Kobiety powinny być jak słowik, zwiastunkami wiosny; i nie takie jak słowik: niepowinno kwilić ciągle.

Kobiety powinny być jak generał, działać stanowczo i odważnie; i nie takie jak generał: niepowinno dowodzić tylu mężami.

Kobiety powinny być jak wystawa sztuk, gdzie tylko piękność oko spotyka; i nie takie jak wystawa sztuk: nie wszystko, co oko spotyka, powinno być tylko sztuką.

Kobiety powinny być jak absolutna monarchia, w której tylko Jeden rządzi; i nie takie jak absolutna monarmonarchia: powinny mieć także dobrą konstytucję.

[Dowcip Rossiniego]. Jak wiadomo, był Gioachimo Rossini również dowcipny w swoich odpowiedziach, jak czarującym w tonach, i opowiadają też o nim nie jedną anegdotę, świadczącą o rzadkim humorze i sarkazmie. Podczas jednej z ostatnich odwiedzin w Paryżu zrobił mu wizytę jeden z najoryginalniejszych pianistów o długich włosach.

— „Czy mam Panu co zagrać na mój sposób?“ — spytał Rossiniego. Kompozytor wyprasał się jak mógł, utrzymując, że na wieki zerwał już z muzyką. Ale pianista uparł się przy swoim. Usiadł tedy do fortepianu i potrząsając swoją grzywą walił przez pół godziny po klawiszach. Wreszcie powstał błąd i zlany potem.

— „I cóż — rzekł do mistrza — jak się panu to podoba?“ — Rossini milczał. — „Jak się panu to podoba, mio carissimo?“ — powtórzył wirtuoz natarczywie i z tryumfującą miną.

— „Ha — odrzekł Rossini z zwykłym swym sardonicznym uśmiechem — widzę, żeś Pan potężniejszy od Boga: Bóg stworzył świat, a Pan zrodziłeś chaos.“

[Protest przeciw wiewatowi]. Gdy sławny Wilberforce, który jak wiadomo poświęcił całe życie swoje staraniom około zniesienia niewoli murzynów, wybrany został za York do parlamentu, odprowadzał niezliczony tłum ludu córkę obranego do drzwi pomieszkania, wołając radośnie: „Miss (panna) Wilberforce niech żyje jak najdłużej!“ Na to odwróciła się młoda dama, wstępująca właśnie na schody domu, skinęła na zgromadzenie, ażeby się uspokoiło, i rzekła:

— „Nie moi przyjaciele, jeśli pozwolicie, nie panna Wilberforce niech żyje!“

Któżby ję wziął za złe to życzenie? Odpowiedziano ję też na to serdecznym śmiechem.

[Tak się kochać powinno!] Z huczną muzyką przechodził pewnego pogodnego poranku letniego w r. 1826 pułk gwardyi pustemi jeszcze i cichemi ulicami Petersburga. Z niższych piąter domów spieszyli dorośli i dzieci na ulicę, jedni, by lepiej przysłuchać się dźwiękom tryumfálnego marszu, który banda muzyczna doskonale przegrywała, inni dla nacieszenia się widokiem okazałego wojska. Także niejedna piękna główka dziewczica ukazała się w oknach wspaniałych budynków i z widocznym zajęciem przypatrywała się smukłym postaciom oficerów, wstrzymujących silną dłońią przepyszne swe rumaki.

Jedna tylko istota nie podzielała bynajmniej radošnego wzruszenia, jakie objawiali widzowie tej parady wojskowej. Była to młoda, piękna dziewczica, siedząca z głową opartą o okno bogato ozdobionego pokoju, która usłyszawszy zaledwie pierwsze dźwięki marszu i rzuciwszy przelotne spojrzenie na wojsko, z cichym jękiem pospieszyła do przyległego pokoju i zakryła dłońmi piękne, blade swe oblicze. Najbolešniejsze wspomnienia musiały obudzić się w jej sercu, bo gorące łzy sączyły się pomiędzy zgrabne jej paluszki, i wyjęknąwszy bolešnie: „Jakże inaczej było przed rokiem! O mój Boże, dodaj mi siły do zniesienia tego okropnego losu!“ upadło dziewczę na kolana.

Gorące modły, które zasyłała do ojca niebieskiego, zdawały się łagodzić bolešć jej serca, gdyż powoli przybierały jej rysy spokojniejszy wyraz, i jak gdyby zaczerpnęła natchnienia z owych wyżyn, do których wznosiła się duchem, rozjaśnił nagle promień nadziei jej szlachetnie zarysowane oblicze.

W przepysznie umeblowanym, w najkosztowniejsze cacka i inne modne błyskotki obficie ozdobionym pokoju tego samego pałacu, spoczywała we dwie godziny później wiekowa już nieco dama na wygodnej sofie. Czarna, jedwabna suknia okrywała jej postać, a mocno zaczerwienione jej oczy patrzyły nieruchomie w ćwiartkę papieru, którą jej białe delikatne ręce konwulsyjnie poruszały.

— Proszę Wielmożnej pani — ozwała się wchodząc sługa — panna Emilia prosi o chwilę posłuchania.

— Tak wcześnie? — odparła dama z wyrazem zadziwienia. — Niech wejdzie!

Emilia, owa młoda dziewczyna, którą zostawiliśmy modlącą się, otworzyła zcicha drzwi i weszła skromnie ale z powagą. Jej ubior nie był wykwintny, ale bardzo gustowny, a każde jej poruszenie odznaczało się powabem i pewnością. Gdy się zbliżyła do sofy, spoczywająca na niej dama zwróciła tylko nieco głowę w tę stronę, gdzie stała Emilia, nie zmieniając jednak wcale wygodnej swej pozycji. Nie było w tem wprawdzie nic nadzwyczajnego, gdyż owa dumna dama była panią domu, a młoda dziewczyna tylko jej towarzyszką; jednakowoż po nagłym rumieńcu na twarzy Emilii można było wnosić, że takie lekceważenie jej ze strony damy niemile ją dotknęło.

— Pani, przychodzę z prośbą — zaczęła wahając się.

— Proszę mówić.

— Ażeby Pani zechciała uwolnić mię od stanowiska, które zajmuję w Jej domu.

— A to dlaczego?

— Otrzymałam smutną wiadomość z mojej ojczyzny... wzywają mnie.

Prześląkla egoizmem, jak niestety większa część bogaczy zepsutych powodem, nie uważała dama za rzecz potrzebną zapytać się o powód zmartwienia dziewczyny, która od dwóch lat była jej towarzyszką i starała się zawsze gorliwie o zaspokojenie życzeń swojej pani. Przeciwnie odparła z wyrazem widocznego rozdraźnienia:

— I to właśnie teraz, moja panno, chcesz mnie opuścić, kiedy w smutku moim musiałabym tem bardziej czuć twoję nieobecność?

— Nieodzowna konieczność zmusza mnie do tego, pani — wyjękła zcicha Emilia.

— Czy wiesz panna, co to pismo zawiera? — spytała dama wskazując list, który ciągle jeszcze w ręku trzymała, a którego treść — ach, ileż razy! sama już czytała.

— Domyślam się; pan Annenkov mówił mi wczoraj, że wyrok na decembrzystów (członków spisku, który wybuchnął 14. grudnia 1825 w czasie wstąpienia na tron cara Mikołaja) został już wydany.

— Otoż widzisz; wszelkie starania naszych przyjaciół były próżne, i generał L. pisze mi, że Jego Mošć cesarz wprawdzie złagodził wyrok najwyższego trybunału kryminalnego, ale to złagodzenie opiewa: „Utrata stopnia i szlachectwa, dożywotne wygnanie na Sybir i robota przymusowa.“

Wzruszona do głębi umilkła dama na chwilę, a potem zawołała: — Czy pojmujesz panna bolešć matki, która w taki sposób musi utracić swego jedynego, kochanego syna?

Przejęta najtkliwszem współczuciem chciała Emilia ująć rękę damy, by ją przycisnąć do ust, ale ta pochwyciła teraz w obie ręce ów list złowrogi i ścisnęła go konwulsyjnie.

— Nieprawdaż, moje dziecię, że zaniechasz zamiaru opuszczenia mnie teraz? — spytała dama po chwili.

— Niestety, nie mogę tego uczynić... mam świąty obowiązek do spełnienia...

— I kiedyż chcesz odjechać?

— Jeżeli pani pozwoli, za czternaście dni... muszę jeszcze niejedno przygotować do podróży...

— Nie wstrzymuję nikogo, kto nie chce pozostać u mnie; na wdzięczność i uznanie nigdy rachować nie trzeba.

Mocny rumieniec oblał twarz Emilii; miała już dumną odpowiedź na ustach, ale powstrzymała się z nadzwyczajnem wysileniem, i wyrzekłszy zcicha: „Dziękuję pani“ — wyszła z komnaty.

W ośm dni potem pojechała matka do swego syna, bylego rotmistrza Iwaszewa w pulku gwardyjskim, by go pożegnać po raz ostatni przed wyjazdem na wygnanie. Emilia prosiła, by mogła jej towarzyszyć, zapewne dlatego, ażeby wspierać cierpiącą kobietę przy tym akcie bolešnym. Młody, nadzwyczaj przystojny oficer zdawał się być zdziwionym, ujrawszy towarzyszkę matki, i wzrok jego pełen najgłębszego wzruszenia spoczął na chwilę pytająco na licu Emilii. Ale ona nie podnosiła oczu, i stojąc w głębi pokoju zdawała się być zupełnie zatopiona w myślach.

Iwaszew, którego szlachetnej odwagi nieszczęście złamać nie zdołało pocieszał swoją matkę: zaklinał ją, by szanowała

zdrowia swego dla niego, bo przecież, gdy Bóg dozwoli, mogą się jeszcze kiedyś zobaczyć. Matka ze łzami w oczach wstrząsała głową, wreszcie uściskała jeszcze raz drogiego syna i wyjękła łkając:

— Ach, wszystko mogłabym znieść, gdybym wiedziała, że jest przy tobie kochające serce, któreby, zastępując mnie, pielęgnowało ciebie i czuwało nad tobą; ale wiedzieć, żeś sam, sam jeden wśród mąk i niedostatku...

— On nie będzie sam, jeśli zechce — ozwał się nagle łagodny głos obok nich. Emilia przystąpiła bliżej i mówiła dalej z głębokim wzruszeniem: Przed rokiem, pani, wyznał mi Twój syn, że mnie kocha, że nie ma dla niego szczęścia, jeśli się ze mną nie połączy. Nie wątpiłam ani na chwilę, że jego rodzice, jego bogata i dumna rodzina, poruszyliby niebo i ziemię, ażeby niedopuszczyć takiego związku. A potem? Chociażby wkońcu i zwyciężyła wierna jego miłość — urok szczęścia zginąłby przecież w takich walkach! I tysiące sieci zastawiałby wielki świat pięknemu bogatemu kawalerowi, które mogłyby zatruć życie małżonce. Powiedziałam przeto Twemu synowi, pani, że — że go nie kocham. Bóg jeden wie, ile to kłamstwo mnie kosztowało... Dziś nie pozazdrości mi nikt biednego wygnańca... i jeżeli on... nie zmienił swego uczucia... o, to pójdę za nim na koniec świata jako najszczęśliwsza jego małżonka!

— Ach droga Emilio, szlachetna dziewczyno! — Aniele, ukochany nad życie! — wołali równocześnie matka i syn, i Emilia prawie omdlała spoczęła w objęciu młodego Iwaszewa.

— Ale podróż twoja do ojczyzny, droga Emilio? — spytała matka, przyciskając ją również z czułością do serca.

— Tu jest moja ojczyzna — odrzekła Emilia, opierając piękną głowę na piersi kochanka. — Podróż była tylko udaniem, ażebym mogła, bez zwrócenia uwagi, uporządkować szczupłe moje mienie.

— Emilio — rzekła ostrzegająco matka — podziwiam twój heroizm; ale zdrowie twoje zanadto jest wątłe. Ty nie znasz trudów i cierpień, które cię czekają.

— Jedna jest tylko droga zbawienia dla mnie; Bóg będzie z nami.

Emilia Ladentu — tak się zwała ta bohaterska dziewczina — została uwielbianą małżonką Iwaszewa i dzieliła z radością jego niedolę. Po dwudziestu przeszło latach pozwolono im powrócić do kraju, i ktokolwiek potrafił oceniać szlachetne poświęcenie kobiety, przyjmował ją z czcią i uwielbieniem.

[Przyjaźń u zwierząt]. Jestto zadziwiającym zjawiskiem w świecie zwierzęcym, że nieraz wśród sprzyjających szczególnych okoliczności zawiązuje się pewien rodzaj przyjaźni pomiędzy rozmaitemi zwierzętami. Tak opowiadają o pewnym żórawiu, który po zgonie swojej samicy długo dręczony żalem, przywiązał się wkońcu do byka i wszędzie mu towarzyszył. Istnieją także przykłady, że wydra, borsuk, pies morski, i konie żyły w największej harmonii z psami. Sławny zoolog Brehm miał przez długi czas w Afryce ptaka, zwanego nosorożcem, który żył w wielkiej przyjaźni z małpą. U paryskiego rzeźnika Frère przywiązała się kaczka tak mocno do psa, że towarzyszyła mu zawsze, gdy wychodził strzedz bydła na pastwisku; często jechała nawet na nim trzymając się dzióbem jego szyi. Pewien pies, wychowany razem z kru-

kiem, wyprawiał z nim wspólne łowy na zające i króliki, a mianowicie pies napędzał zwierzynę stojącemu na krańcu gestwiny krukowi, a ten chwycił ją i zjadał potem wspólnie z swoim przyjacielem. Gerlach opowiada o łani, która wrastając wraz z cielęciem tak je polubiła, że potem towarzyszyła wszędzie bykowi, na paszy nie ustępowała od jego boku, i w stajni nie chciała jeść, jeżeli nie było jej przyjaciela. Zoolog Buffon opowiada kilka wypadków, że taka przyjaźń zwierzęca stawała się jeszcze ściślejszą, co mianowicie w koczowiskach cygańskich nie rzadko się zdarza. Jak donosi D'Orbigny w swoim dziele: Voyage dans l'Amerique meridionale (Podróż po Ameryce południowej), starają się tamtejsi gospodarze więcej obudzić w psach silniejsze przywiązanie do trzód owczych tym sposobem, iż od urodzenia dają im ssać owce; przeto staje się ich troskliwość o trzodę większą jeszcze, niż bywa u człowieka. L. Brehm opowiada o nadzwyczajnej czułości kota dla wiewiórki, która wykarmiwszy go swoim mlekiem, odwzajemniała to przywiązanie. Sławny Darwin, który przed kilkoma laty zwiedzał środkową Amerykę, uważał z niemałym zadziwieniem, że psom owczarskim nie tylko nie dają tam ssać owiec, ale nawet nie pozwalają im nigdy przebywać razem z innymi psami lub dziećmi. Procz tego robią im legowiska z owczej wełny, i doprowadzają tym sposobem do tego, że psy jednoczą się zupełnie z owcami. Rzecz dziwna, że stada dzikich psów nigdy nie zaczepiają trzody, strzeżonej przez takiego psa owczarskiego, uważając niejako te zwierzęta za towarzyszków ich straży.

(Napoleon I. kozłem do skakania). Pewnego pięknego popołudnia w lipcu r. 1802 zasiadło w Malmaison wesołe towarzystwo na wielkiej terasie ogrodowej. Było tam kilku adjutantów pierwszego konzula Napoleona i malarz Isaboy, którego wówczas powszechnie uwielbiano. Wszyscy siedzieli przy dużym stole, zastawionym suto potrawami i butelkami, i byli w takim usposobieniu, kiedy to człowiek staje się zdolnym do wszelkiego rodzaju wybryków.

— „Przecież to miła rzecz — zaczął kapitan Chénier — gdy człowiek nie ma służby u konzula i nie potrzebuje być ciągle tak poważnym!“

— „O, to prawda — odrzekł pułkownik Mazuyer — i dziś musimy się dobrze zabawić, bo konzul jest w Paryżu i poźstanie tam także na noc.“

— „Niechby sobie tam i na zawsze pozostał, a nas poźstawił tu w Malmaison przy winie!“ — zawołał młody kapitan od dragonów.

— „Moi panowie — zawołał pułkownik Mazuyer — teraz wypróbujcie szklanki, uprzętnąć ze stołu, i do gry w małym pokoju!“

— „Kochany pułkowniku — ozwał się Chénier — czyż mamy tak piękny wieczór przesiedzieć w pokoju? Nie, panowie, przypatrzmy się zachodowi słońca.“

— „Dobrze, dobrze, kapitanie — zawołali drudzy — poźstańmy w ogrodzie!“

Wszyscy powstali i zeszli z terasy do ogrodu, Zmrok już zapadł, i długie aleje parku zaczynały już okrywać się ciemnością, gdy towarzystwo przechadzało się po parku. Naraz zamknęła mu drugą wysoką kratą, i niektórzy panowie chcieli już udać się inną drogą, gdy pułkownik Mazuyer zawołał:

— Hola, panowie; żołnierz powinien pokonywać wszelkie przeszkody; a więc 10 kroków rozpędu, i krata musi być przebyta!

Z radośnym okrzykiem rzucili się adjutanci ku kracie, ale nikt nie próbował przeskoczyć, bo wysokość wynosiła 7 stóp. Tylko malarz Isaboy przesadził przez kratę potężnym skokiem.

— „Ależ pan skaczesz jak pantera — zawołał pułkownik Mazuyer — takiego skoku jeszcze nie widziałem!”

— „To bagatela — odparł Isaboy — ja przeskoczę każdego człowieka, nie dotknąwszy go nawet.”

— „A, to musimy widzieć; prosimy, prosimy!” — wołali zdziwieni adjutanci.

— „Bardzo chętnie, moi panowie — odparł Isaboy — postawajcie o 10 kroków jeden za drugim w tej alei.”

Panowie pospieszyli do alei i stanęli wnet długim szeregiem.

— „Teraz schylić głowę naprzód, założyć ręce i stać cicho!” — zawołał malarz. Potem cofnął się kilka kroków i popędził z szumem ku stojącemu jak posągi adjutantom. Ze zdumieniem patrzyli wszyscy na śmiałego skoczka, jak przeskakiwał lekko przez głowę każdego, a gdy przebył już ostatnią przeszkodę, otoczyło go całe towarzystwo z radośnymi okrzykami.

— „A teraz — zawołał Isaboy — spróbujemy się w bieganii: kto mnie schwyta, wymaluję portret jego w naturalnej wielkości!”

— „Zgoda!” — zawołali oficerowie.

I rozpoczęła się szalona gonitwa; ale Isaboy wyprzedzał coraz więcej swoją pogoń, a wreszcie znikł w ciemności. Panowie powrócili do zamku. Isaboy widząc, że przestano go gonić, udał się także z powrotem. Ciemność się powiększyła, i powolnym krokiem postępował artysta główną drogą. Nagle zastąpił mu drogę jakiś malutki człowiek. Malarz stanął.

„Ha, tu jest jeszcze jeden, który chce mnie schwytać — mruknął do siebie. — Mnie się zdaje, że to kapitan Chénier; ale ten mnie nie dogoni na swoich krótkich nogach, a do tego ma jeszcze głowę zalaną winem!

I spiesznie odbiegłszy kilka kroków wstecz, usiłował przeskoczyć tę postać; ale dosięgnął tylko do jej szyi, i obadwaj potoczyli się na ziemię. Isaboy nie mógł się wstrzymać od śmiechu; ale ów człowieczek nie znał żartów.

— „Kto pan jesteś, do szatana, że chcesz skakać przezemnie? Jakim sposobem dostałeś się pan do tego parku?”

— „O nieba! — zawołał malarz przerażony, poznał bowiem głos Napoleona, i szukał jak najspieszniej ucieczki, a Napoleon pędził za nim jak mógł najprędzej. Po chwili znalazł się Isaboy przed tą samą kratą, którą już raz przeskoczył; zrobił więc jeszcze jeden skok i był ocalony. Ale kapelusze jego pozostał.

Napoleon odjechał nagle z Paryża i pod wieczór przybył do Malmaison. Przed parkiem odprawił powóz, i przybył pieszo do zamku. Wtedy to spotkał go Isaboy.

Adjutanci poznali kapelusze Isaboya, a za ich pośrednictwem poznał Napoleon artystę.

W kilka dni po tym wypadku zastał malarz w swoim mieszkaniu pismo, któremu konsul zamówił u niego swój portret naturalnej wielkości.

[Przygoda myśliwska na brzegu Sahary]. „Znaliśmy się w Wargli, u samej granicy, gdzie kończy się francuzki obszar Algieru, a szczyty El Utschów, bardzo zażdrosne o swoją potęgę terytoryalną, dopuszczają się najstraszniejszych rozbojów” — opowiada pewien Polak, którego szczególniejsze losy zagnały do legii endzoiemskiej. — „Szeikowie niektórych koczujących szczepów beduińskich zaczęli znowu podżegać ludność do powstania, i przeto rozkazano nam wysłać częste patrole na terytoryum nieprzyjacielskie. Nasz oddział rekonesansowy składał się z dwudziestu ludzi, trzech oficerów i dwudziestu psów. Te służyły nam po części do wskazywania drogi z powrotem, po części zaś ku ochronie od napadu lwów, tych najstraszniejszych sprzymierzeńców kabylskich, których bardzo wyraźne ślady pokazywały się w ostatnich czasach nawet po tej stronie kordonu wojskowego. Psy umieją doskonale wietrzyć tych strasznych i śmiertelnie nienawidzonych wrogów swoich, i wytropią zawsze drogę do ich legowiska.

Otóż otoczeni tymi wiernymi stróżami opuściliśmy pewnego wieczora w milczeniu cytadelę i wjechaliśmy na puszcę. Po zamglonym niebie przesuwiał się jak duża, czerwona lampa księżyc, i oblewał płowem, brunatno-żółtem światłem martwą okolicę. Z naciągniętym kurkiem, z okiem i uchem wytężonym, jechaliśmy tak może dwie godziny w kierunku południowo-wschodnim, gdy naraz psy idące przodem zatrzymały się, i przytknąwszy nozdrza do ziemi, poczęły wachać i drapać, a potem niespokojnie biegać dokoła. To poruszenie dostrzegła wnet reszta psów — nagle ucichły wszystkie jakby na komendę i zwróciwszy łby na zachód, stanęły nieruchomie z nastrożonymi uszami, najeżoną siercią i podniesionym ogonem. Spojrzeliśmy nadół na piasek i spostrzegliśmy ślady szerokich łap, a za nimi jakiś szczególny rowek, co wskazywało niewątpliwie, że w pobliżu musi znajdować się lew, i to olbrzymi jego egzemplarz. Nim jeszcze uradziliśmy, co począć w tém podwójnie niebezpiecznym położeniu — nie mogliśmy bowiem zdradzać się strzałami — pokazała się na ubocznym wzgórzu ciemna postać, i z wściekłym wrzaskiem rzuciły się teraz wszystkie psy ku punktowi, z którego to zjawisko zniknęło. Teraz nie było się już czego wahać; to szczekanie psów, choć zresztą całkiem wyjątkowe, było gorsze niż strzał. Pozostawisz psy, stracilibyśmy je niezawodnie, a były one nam tu konieczne potrzebne; bądź co bądź więc postanowiliśmy zgładzić przynajmniej tego jednego nieprzyjaciela. Puściliśmy się tedy największym galopem za naszymi psami. Po półgodzinnej przeszło szalonej jeździe spostrzegliśmy, że pogoń ustala, a po cherczącym, przerażliwym szczekaniu, któremu towarzyszyło złowrogie ryczenie i forkanie, można było wnosić, że rozpoczęła się wściekła walka. Zbliżyliśmy się ostrożnie ku drgającej kupie zwierząt i spostrzegliśmy teraz z niemałym przerażeniem, że nasze psy toczyły rozpaczliwą, śmiertelną walkę z dwoma olbrzymimi lwami. Śród zmroku widzieliśmy tylko duże, jak u kota zielono i czerwono połyskujące ślepia tych bestyj, ich najeżone grzywy i wysoko wzniesione, krzaczyste ogony, a dokoła nich mławo

blyszczące oczy naszych psów. Wycie, ryk, szczekanie, skowyczenie, tarzanie się, kłęby kurzu i ponure światło wielkiej, czerwonej tarczy księżycy, oświecające zapaśników, nadawały całej tej scenie okropny wyraz.

Już od kilku minut trwała ta straszliwa walka. My staliśmy w pogotowiu do strzelania, ale zawsze zawadzały nam psy, które wkońcu zawisły jak kleszcze na olbrzymim cielsku nieprzyjaciół. Nagle nastąpił gwałtowny skok, łapy lwa wzniosły się do góry, z krótkim, gwałtownym wrzaskiem spadły trzy najsilniejsze psy z jego tułowu, i lew stał znowu gotów do walki naprzeciw swoich przeciwników. W tej chwili spostrzegł nas, zmierzył ponurem wzrokiem i zwolna zaczął się cofać, gdy tymczasem psy, pozostawiając teraz nam tego lwa, rzuciły się zjednoczonymi siłami na drugi egzemplarz. Kurki zawarczały, na cichą komendę padło do dwunastu strzałów, a lew znikł jak zaczarowany, zapewne za drugą zaspą piaszczystą. Szliśmy za śladem kilka kroków, smuga krwi na piasku wskazywała, że został wprawdzie ugodzony, ale miał jeszcze dość siły, aby umknąć; o dalszém ściganiu nie mogliśmy ani myśleć. Staraliśmy się teraz tylko oderwać nasze psy od drugiego lwa. Ale nie była to rzecz łatwa. Walka z nim była jeszcze straszniejsza niż z pierwszym; opadnięty przez czternaście psów, bił on i kasał, dusił i rozdzierał je jak szalony. Ośm psów leżało już bez życia albo przynajmniej bliskich skonu na ziemi, reszta zaś wpiła się zębami tak mocno, i to w miejsca najniebezpieczniejsze dla zwierzęcia, że niepodobna było niczém nakłonić ich do odstąpienia. I kto wie, jakby była skończyła się ta walka, gdyby nie odważny jeden kolega, Holenderek, nie dbający o nic w świecie, który przystąpiwszy całkiem spokojnie do tarzającej się kupy, złożył się z największą pewnością, i ugodził lwa dwoma strzałami w oko. Lew charknąwszy tylko powalił się na miejscu, i dopiero wtedy odstąpiły psy od niego. Ale teraz był też największy czas pomyśleć o naszym bezpieczeństwie; byliśmy znacznie oddaleni od granicy, padło wiele strzałów, pół godziny czasu upłynęło między pierwszym i ostatnim; mogliśmy tedy spodziewać się, że lada chwila spadnie na nas z pobliskich wzgórz zgraja dzikich postaci w białych płaszczach, z okrzykiem wojennym i wzniesioną długą rusznicą. Przywiązaliśmy tedy spiesznie lwa na dwóch koniach i ruszyliśmy co prędzej z powrotem do Wargli. W drodze padły jeszcze trzy psy na upływ krwi, i dopiero nad ranem dostaliśmy się okropnie znużeni do naszej kwatery, gdzie rezultat tego rekonesansu niemałe obudził zadziwienie. Musieliśmy stawać przed sądem wojennym, ale uniewinniono nas zupełnie, bo panowie sędziowie wiedzieli dobrze, co to znaczy, gdy psy zwietrzą lwa i dopadną go na puszczy. To było — tak kończy opowiadający — jedyne polowanie na lwa z psami, w którym brałem udział w ciągu mego burzliwego życia; ale szczerze powiadam, że nie chciałbym nigdy więcej używać podobnej przyjemności.

[Sposób ściągania długów w Persyi]. W ojczyźnie Szacha, który do niedawna był przedmiotem zajęcia całej prawie Europy, używają wierzyciele szczególniejszego sposobu do odbierania swoich pieniędzy. Jeżeli dłużnik nie uiści się z pożyczki w oznaczonym terminie, idzie do niego wierzyciel raniu-

teńko i nie ustępuje się, dopokąd nie zostanie zaspokojonym. Na tę ekzekucyę przynosi on z sobą swój dywan, rozkłada się w komnacie sypialnej swojego dłużnika, jé, spi i pali fajkę tak długo, dopokąd nie odbierze swoich pieniędzy. Przed kilku laty zdarzył się podobny wypadek nawet w Londynie. Pewnemu Persowi uroiło się, że angielski minister spraw zagranicznych jest jego dłużnikiem. Pewnego pięknego poranku wyjeżdża tedy z Teheranu, i przybywszy po wielu dziwacznych przygodach do Londynu, bierze swój dywan i udaje się do Foreign Office (ministerstwa spraw zagranicznych) z zamiarem siedzenia u tego pana (był bowiem pewny, że to osoba) tak długo, dopokąd go nie zaspokoją. Ale gdy już rozpoczął swoją oryginalną egzekucyę, wytłumaczono mu jego pomyłkę.

Zwyczaj „siedzenia komuś na karku“ jest w ogóle bardzo rozpowszechniony w Persyi, i nie łatwo go wykorzenić. Można jednakowoż dać sobie z nim radę, jak tego dowiódł Sir John O'Neill, stary szczwany dyplomata szkocki, który był niegdyś zawierzyteliony przy dworze perskim. W dzień Nowego roku, który uważany jest w Persyi za wielkie święto, chodzą po domach żebracy, którzy jednak raczej domagają się niż proszą o pewną oznaczoną kwotę pieniężną. Otóż jeden z takich przemysłowców, derwisz perski, żądał od rzeczonoego dyplomaty zanadto wielkiej jałmużny. Sir John ofiarował mu dość znaczny datek, ale derwisz nie chciał go przyjąć i zabierał się do siedzenia. Usadził się w ogrodzie Sir Johna pod oknami jego gabinetu i nieustannie we dnie i w nocy wyl straszliwie, albo dął w rozstrojoną trąbę, jak gdyby zwolywał nieboszczyków na sąd ostateczny. Sir John znosił to cierpliwie dość długo, ale wkońcu sprzykrzyło mu się bezczelne natręctwo derwisza, i postanowił pozbyć się go z domu. Władze jednak perskie przestrzegały go jak najmocniej, by nie podnosił ręki na derwisza, gdyż mógłby się narazić na wielkie niebezpieczeństwo. „Pozbądź go się Pan, jeżeli możesz — mówili mu urzędnicy — ale nie dotykaj się jego osoby“ — „Bardzo dobrze“ — odpowiedział Sir John i posłał po murarza. — „Obwieź mi murem tego wyjącego żebraka — rzekł do murarza — i pokryj go potem dachem.“ — Murarz wziął się do roboty. Derwisz przypatrywał się z początku flegmatycznie tej budowie i hałasował jeszcze przeraźliwiej niż przedtem; ale gdy zmiarkował, że zamierzają go naprawdę żywcem zamurować, wyskoczył z klatki i uciekł co żywo. Ta dowcipna naucezka uwolniła Sir Johna na zawsze od podobnych natrętnych odwiedzin.

[Koniucha japoński]. Jedną z najciekawszych postaci ludowych w Japonii jest tak zwany Beto, parobek do koni. Rzadko spotkać można w Japonii konia bez takiego Beta, który go pogania; nawet gdy jeździec siedzi na koniu, musi mieć przy sobie Beta, gdyż inaczej nie dałby sobie rady z tem zwierzęciem. Konie bowiem japońskie nie bywają wcale ujeżdżane, i tylko Beto potrafi nimi kierować. On biegnie obok konia to zwolna, to kłusem lub galopem, to wyprzedza go, to zostaje za nim, pogania i zatrzymuje słowami, giestem lub kijem, i kieruje nim tak, że koń stósuje się do każdego poruszenia jego. Najczęściej biegnie naprzód i napędza konia nieustannym wrzaskiem. A jak nogi i ręce, nie spoczywa też

nigdy i gęba jego. Ubrany w szpiczastą czapkę, szeroki kaptan i mocne sandały, zwykle młody, zwinny i krępy, o niez mordowanych płucach, zawsze ochoczy, wesoly i zręczny do wszelkich poselstw, a przytem przebiegły i chytry, przedstawia on jeden z najciekawszych typów japońskich. Jest on też bardzo dumny na swoją kastę, i u krajowców niemałe ma poważanie, gdyż jeden z członków tej klasy wznosił się niegdyś własną siłą i rostopnością do najwyższej godności w państwie i został jednym z najslawniejszych cesarzy japońskich. Ten świetny wzór wszystkich Betów, nazwiskiem Faxibo, urodzony w roku 1535, był synem ubogiego chłopca i w młodości rębał drzewo po ulicach. Później służył jako Beto u pewnego dygnitarza. Poważny i myślący, jak go przedstawia rycina rozpowszechniona w Japonii, dumiał ów młody człowiek po całych dniach przy swoich koniach, układając rozmaite plany, ażeby stać się wielkim człowiekiem. Podówczas srożyła się w Japonii wojna domowa; panowie podnosili rokosz przeciw Mikadzi, i pan Faxiby prowadził także wojnę z cesarzem. Postawił armię przeciw niemu i uzbroidł wszystkich swoich ludzi. W staczanych następnie walkach odznaczył się Faxibo nadzwyczajną walecznością i wielkimi zdolnościami wojskowemi; prócz tego ożywiało go gorące życzenie, by zawichrzonej ojczyźnie przywrócić znowu dawną wielkość i potęgę. Na czele armii cesarskiej stał wówczas następca tronu Nobunga, i ten zwrócił uwagę na zdolność Faxiby. Nie trudno mu było przyciągnąć go na swoją stronę, i młody koniucha wstąpił jako oficer pod imieniem Fide-Idsi do armii cesarskiej. Tu rozwijał bez przeszkody swoje znakomite talenty, i wkrótce stał się naczelnym wodzem armii cesarskiej. Jego rostopność i dzielność zniweczyła wszelkie usiłowania powstańców, i władza Mikady została znów ustaloną. Wtedy został następca tronu Sjogunem, t. j. władcą świeckim, a gdy ten wkrótce umarł, zajął Faxibo jego miejsce, i dawniejszy Beto nosił teraz, jak następca tronu, tytuł Taico. Mikado, do niedawna jeszcze duchowny i świecki władca w jednej osobie, nie bardzo był z tego zadowolony; ale ponieważ Faxibo miał za sobą całą armię, a prócz tego uważany był powszechnie za najdzielniejszego męża w całym kraju, musiał uleść konieczności i zatwierdzić dawnego Beta w jego godności, zastrzegając sobie tylko, że wszystkie nowe ustawy, wydawane przez Taica, muszą wprzód otrzymać jego sankcję. Teraz, od r. 1586, posiadał Faxibo najwyższą władzę rządową w sprawach świeckich, i zasłynął wkrótce jako najdzielniejszy, najenergiczniejszy i najsprawiedliwszy władca, jaki kiedykolwiek panował w Japonii. On jest właściwym założycielem dynastji Sjogunów, która trzymała się aż do najnowszych czasów. Jego cnoty książęce weszły w przysłowie w Japonii, a jego imię wymawia dziś jeszcze z dumą lud japoński. Naturalnie spada znaczna część tej sławy na kastę, z której wyszedł Taico, i każdy Beto chlubi się tem do dziś, że jego przodkowie obdarzyli ojczyznę jednym z największych cesarzy.

[Powrócenie czci rodowi osłemu]. Jeden z dzienników francuskich podaje następującą ciekawą rehabilitacją osła, którego człowiek tak niemilosierdzie spotwarzył, przedstawiając go jako wzór głupoty i lenistwa. Osieł stracił niejedną z pierwotnych zalet swoich dla tego, że ludzie źle się z nim obchodzili, ale na wolności jest on zupełnie innym zwierzę-

ciem. Pozostawiony w swobodzie osieł wznosi dumnie głowę do góry, ma sierć gładką i równą, wzrok ognisty, ruchy żywe i pewne, postawę miłą i szlachetną. Takim jest osieł na łonie natury. Na osłach jeżdżą wojownicy arabscy, a koni używają tylko do walki i uroczystych występów. W samym Kairze jest do 40.000 osłów. Najpiękniejsze Czerkieski, owiane jak mgłą koronkami i złocistymi rąbkami swego fantastycznego stroju, nie jeżdżą inaczej tylko na osłach. Na wyspach Malcie i Sardynii wytrzymuje osieł szczęśliwie współzawodnictwo z koniem. Znaną jest romantyczna sława osłów w Arkadyi, gdzie je poeci przystrajali w róże. Na wyspie Maderze, gdzie wierzą w wędrówkę duszy ludzkiej po śmierci, istnieje mniemanie, że dusze wielkich i uczonych mężów znachodzą przytułek w tulowach osłów. Osieł pozostawiony na wolności, jest tak, rączy że starzy Egipcjanie czcili go jako symbol wiatru, a nawet jako symbol tchnienia i życia. W Jerozolimie istniała sekta religijna, która bóstwo swoje wyobrażała sobie w postaci osła. W świątyniach tebańskich osieł, jako symbol bóstwa, nosił nazwę Aliboron. Pindar utrzymuje, że Hyperborejczycy czynili Stwórcy ofiary z osłów. Znaną jest rola osła w historii biblijnej, na nim wjeżdżał Zbawiciel do Jerozolimy. We Francji jeszcze w XIII. wieku obchodzono uroczystość na cześć osła, nucąc przytem pieśni napół religijne. Miejsowość Asnieres, znajdująca się na lewym brzegu Sekwany, a mająca nazwę od osłów, jeszcze w r. 1700 obchodziła festyny na cześć osła. W średniowiecznych rocznikach sądowych odgrywały osły znakomitą rolę. Prócz tego odznacza się to zwierzę jeszcze wielu innymi zaletami. Oslica jest nadzwyczajnie czułą i troskliwą matką. Gdy w pewnym folwarku francuzkim wybuchnął pożar, oslica wyprawiona ze stajni, rzuciła się w płomień i wyniosła w zębach osłątka swoje, które pozostało było w stajni. Mleko osła, lekkie i obfite w śmietankę, sér i pierwiastki cukrowe, jest bardzo zbawienne dla chorych na osłabienie. Mleko oslicy wyleczyło króla Franciszka I. z febrji i konsumpcji. Dziś jeszcze używane bywa mleko osła jako środek wzmacniający, a jeden z dowcipnisiów francuskich XVIII. wieku, odzyskawszy zdrowie za pomocą tego mleka, odwdzieczył się rodowi osłemu panegirkiem, w którym powiada, że więcej zawdzięcza osłom, niż fakultetowi medycznemu.

[Nowożytny Don Juan]. Przed asysami centralnego trybunału kryminalnego w Londynie stawał 3. zeszłego miesiąca (sierpnia) niejaki Reuben Alexander Berse, wychrzczony żyd rodem z Galicyi, którego uwięziono za wielożeństwo i namawianie do krzywoprzysięstwa. Obżałowany, jak się pokazało z ostatniej rozprawy, chociaż liczy dopiero 30 lat, ma już za sobą bardzo burzliwą i awanturniczą przeszłość, a sztuczki jego à la Don Juan sprowadziły go na ławę oskarżonych. W r. 1870 udał się on jako nauczyciel pomocniczy przy szkole ludowej do Armagh w Irlandyi, gdzie poznawszy niejaką pannę Kidd, córkę sędziego pokoju, doprowadził do tego, że go zaślubiła. Po kilku miesiącach pożycia z swoją młodą żoną, z którą obchodził się w niegodziwy sposób, zniknął i udał się do Londynu, gdzie za pomocą anonisu małżeńskiego w dziennikach zapoznał się z panną Emilią Boulton, córką pensjonowanego oficera od marynarki, i skłonił tegoż odgrywaniem roli świętoszka i fałszywym przedstawianiem swego stanowiska i swoich

widoków, że oddał mu rękę swojej córki. Dnia 23. lutego 1873 zaślubił on pannę Boulton, a na krótki czas przedtem usiłował wyłudzić od jednego ze znajomych swoich, jenerała Frangini, sumę 200 funtów szterlingów. Tymczasem prowadził Berse swoją spekulacją małżeńską na wielką skalę, i jak się pokazało z korespondencji jego, przedłożonej sądowi, był on równocześnie ni mniej ni więcej, tylko z 30 pannami zaręczony. Gdy zostawał już w śledztwie, usiłował namówić drugą żonę do złożenia fałszywej przysięgi, ażeby się oczyścić z zarzutu krzywoprzysięstwa. Sąd przysięgłych uznał nowożytnego Don Żuana winnym wielożenstwa i oszustwa, a trybunał sądowy skazał go na pięcioletnie więzienie w domu poprawy.

[Fraszki] W ciekawych pamiętnikach barona Krystjana Fryderyka Stockmara znajduje się następująca anegdota o teraźniejszej małżonce pruskiego następcy tronu: Jeden

z sekretarzy księcia Alberta, Dr. Praetoryusz, nie odznaczał się wcale pięknnością oblicza. Królowa Wiktorya czytała pewnego razu z swoją córką, księżniczką Wiktoryą, biblią, i deszły do miejsca, gdzie powiedziano, że Pan Bóg stworzył człowieka na podobieństwo swoje. Wtedy zawołała młoda księżniczka z naiwnem zadziwieniem: „Ależ mammo, przecie nie Dra. Praetoryusza?!“

Do redakcyi wychodzącego w San Francisco dziennika „Chronicle“ nadeszło niedawno dziecinne zapytanie, z kąd Kain wziął swoją żonę, kiedy, jak biblia opowiada, nie było wtedy prócz Ewy, matki Kaina, żadnej istoty niewieściej. Redakcyja odpowiedziała: Taka niepotrzebna ciekawość i mieszanie się w sprawy familijne są nieprzyzwoite i naruszają świętość życia familijnego. Ze względu więc na żyjących jeszcze krewnych i zmarłego musi redakcyja odmówić odpowiedzi na to pytanie.

Nowe książki.

Dzieje Filozofii Prawa i Państwa, przedstawione na tle dziejów cywilizacyi, przez Dra. Daisenberga. Tom I; zeszyt I—V. Kraków, w drukarni „Kraju“. Nakładem autora; 1873.

Nie mamy bynajmniej pretensyi, na tem miejscu, a tem bardziej z kilku zeszytów, które mamy przed oczyma — sądzić o dziele, zakrojonem na wielki rozmiar i traktującym tak wysoki przedmiot.

Uważamy jednak za obowiązek nasz, polecić uwadze i poparciu czytelników „Strzechy“ tę rozpoczętą i w drodze prenumeraty rozpowszechnianą pracę, do czego już pierwsze zeszyty dają nam dostateczną podstawę. Zawierają one bowiem obraz rozwoju filozofii, od jej niemowlęcych czasów aż do Hegla, w treściwym i krytycznym przedstawieniu — i z tego zarysu wnosić już można nawet przychylnie o dalszych kształtach olbrzymiej budowy p. Daisenberga.

Jeżeli dodamy do tego rzadkość podobnych prac w naszym języku i wielką popularność formy, sądzimy, że dostatecznie zalecimy i zobowiązemy czytelników naszych do prenumeraty na tę książkę.

Jedyny zarzut zaś, jaki z tej cząsteczki dzieła wydobyć można, jest zbyt silnie dotychczas występująca subiektywność autora, szczególnie uwydatniona w powtarzających się wycieczkach przeciw pozytywistom i innym przeciwnikom. Sądzimy jednak, że w dalszym rozwoju i ten błąd zatrze się i ustąpi miejsca wymowie faktów i cyfer.

Tadeusz Rejtan na sejmie warszawskim z r. 1773. W stuletnią rocznicę sejmku rozbiorowego, opowiedział Leon Wegner.

Zawcześnie zmarły autor tej książki, znany historyk i patriota wielkopolski, pozostawił w niej cenny podarek narodowi.

Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że to tylko wypis z dyaryusza sejmowego, a jednak po przeczytaniu dziwne uczucie zapala i rozrzewnienia ogarnia: tak umiejętnie potrafił zestawić i uwydatnić wszystkie sceny tego straszego

dramatu autor. Krótki, ale szerokimi i silnymi rysami narzucony wstęp wprowadza czytelnika in medias res, ani chwili nie nużąc ciekawości jego. Cały war namiętności i ambicyi ówczesnych gra i kipi na tej setce kartek; ponure i jasne postacie żyją i działają bez chaotyczności; — a przez to tło przechodzi wyższa od okoliczności i innych aktorów — posągowa postać Rejtana. Dramaturg odnajdzie w tej broszurce nieocenione skarby kolorytu do epoki; zwyczajny czytelnik wzmacniający i uszlachetniający pokarm. Szczególnie w chwili dzisiejszej, gdzie coraz trudniej o charaktery, gdzie o wzory coraz trudniej, — ta kartka wydarta z Plutarcha — z rąk każdego ojca w ręce syna, jako najpożyteczniejszy podarek, przejść powinna.

Wdowiec na wydaniu, komedia w 3 aktach, wierszem; przez Teofila Pruszkowskiego.

Tylko nasz obowiązek — zbieracza notatek bibliograficznych wszelkich nowości — skłonić nas może do zajmowania się tą chybioną, amatorską robotą. Komedia to jest, bo podzielona na akty, ubrana w dyalog, i wolna dzięki niebu, od wszelakiego morderstwa i zbrodni — okrom tego jednak, nie ma żadnych innych praw do uzurpowanego przez się tytułu. Fabuła jest pospolita i trywialna, o rytmiczności trzynastozgłoskowego wiersza i przymiotach stylowych nie ma nawet co mówić. Mnóstwo błędów językowych... Dwa na próbkę z tysiąca...

„Któż wyrazić może

Szczęście, jakie obecnie doznaję z widoku
Godnej osoby Pańskiej!...“

albo:

„Otóż będąc z natury płochliwe stworzenie“,

„Życzę mu pomyślnego w zamysłach uśpiechu“

(moskwicyzm).

Pamiętniki z ośmnastego wieku. Tom XIII. Pamiętniki Jenerała Lwa Mikołajewicza Engelhardta, z rosyjskiego oryginału przełożył i notami i dokumentami co do rzeczy polskich objaśnił K. Stolnikowicz Chełmski. — Poznań. U żupańskiego 1873.

Jestto w szeregu cennych materyałów do XVIII wieku, wydawanych staraniem niestrudzonego Nestora księgarzy polskich nowa i ciekawa bardzo praca; zawiera ona mnóstwo szczegółów anegdotycznych do panowania Katarzyny i jej faworytów; — potrąca często w zajmujący sposób o Polskę, naiwnie i z ożywieniem kreśli epokę daną, — wartości jednak historycznej i krytycznej wcale prawie nie posiada. Brak ten wynagradzają i pokrywają doskonale wyborne przypiski i noty wydawcy, któremu oddawszy tę słuszność, mało staranne, przepelnione moskwicyzmami tłumaczenie zarzucić musimy. Wyrażeń podobnych, jak „wtenczas odkryły się namiestnictwa“, „postąpiłem sierżantem“, oraz błędów w składni — co nie miara.

Powisti Iwana Neczuja. U Lwowi. Tom I.

Książka ta, ściśle biorąc, nie nadaje się do obecnego działu, nie jest bowiem nową książką, jako wydana w r. 1872. Jednakże, gdy prasa nasza, systematycznie milcząca o wszystkich pojawach ruskiego piśmiennictwa, i tę rzecz, pełną zalet artystycznych, cichaczem zbyła, przenieść na sobie nie możemy, ażeby o niej na tem miejscu choć krótkiej wzmianki nie uczynić.

Nie wdajemy się w roztrząsanie, o ile to milczenie prasy grzesznem jest i niepolitycznem w stosunku do ogółu utworów ruskich, to jednak pewna, że wobec dzieła, tak świetnie występującego z szeregu owych utworów, a nawet — nie wahajmy się powiedzieć — i naszych ostatnich belletrystycznych prac, jak te powieści Neczuja, obojętność prasy zasługuje na szorstki wyrzut.

W Galicyi znajomość ruskiego języka jest powszechną; wielka więc część czytelników — co daj Boże, zachęcona przez nas — sprawdzić wartość tych powieści i sądu naszego o nich zdola.

Jestto dopiero tom pierwszy tych powieści, których dalszy ciąg wydawnictwo obiecuje. Składa się on z trzech utworów: „Dwi Moskoui“, „Rybalka Panas Krut“ i „Priczepa“. Dwie pierwsze, mniejsze zakrojem, są cackami poezyi ludowej, obrobionymi ręką artysty. W pierwszej dola dwóch żon soldackich, opuszczonych przez mężów, których nieublagany rozkaz powołał, opowiedziana tonem poezyi Tarasa Szewczenki — rzewność — sarkazm z boleści serdecznej urodzony — realizm szczegółów zdumiewający. W drugiej opowiadanie starego rybaka, niesłychanie poetyczne i prostoty pełne... Są to raczej nowelle nie powieści. Urok ich szczególnie bowiem stanowi delikatność i poezya wybranego tematu, oraz subtelne obrobienie go. Nienaśladowany malarz natury wszędzie — tutaj Neczuja pod tym względem wyższy jest, aniżeli w ostatniej powieści „Priczepa“.

W tej wkracza już wyraźnie w dziedzinę społecznego życia Rusinów pod moskiewskim rządem, o które potrącił, w „Dwóch moskiewkach“ autor jest „Ukrainofil“. Zarówno nie cierpi Polaków i Moskali. I tendencja powieści tej właśnie stara się wykazać, jak dwa te pierwiastki złowrogo na ukraiński żywioł oddziaływały. — Duch pański — polski, i urzędniczy — moskiewski są najcięższymi wrogami Neczuja. Ciekawą i nauczającą rzeczą jest analiza tych pojęć ukraińskich, z całą ich mieszaniną: prawdy i fałszu, pretensyi

prawnych i zarzutów stronniczych, szlachetnego zapалу dla swojej przeszłości i namiętnych przesadzonych uraz — odbijających się jak w zwierciadle w tej książce.

Chłop, ksiądz iście ruski, ruski mieszczanin, kupiec — całe to społeczeństwo tak mało nam znane — odkrywa się na tych kartach plastycznie, z wielkim realizmem i znajomością stosunków, mianowicie Ukrainy i Białej Rusi. Na tle tem rozwija autor zajmującą opowieść losów kilku ludzi: prostą i oryginalną, nieraz zdumiewającą, jako studjum. Neczuja przedstawia się w niej stanowczo jako znakomity powieściopisarz społeczny, głęboki nieraz psycholog, a zawsze kochanek i natchniony malarz natury, w czem mu nikt, ze znajomych nam słowiańskich pisarzy prozą oprócz Gogola — nie równa.

Język wyrobiony, silny, pełen często szczęśliwych nowości; często jednak odstępujący od pnia ludowego, tam gdzie wchodzi w sferę wyższych pojęć umysłowych, lub bardziej wykwintnego i wykształconego życia. W tych miejscach niestety, moskwicyzmami zarażony.

Poezye Stanisława Grudzińskiego, nakład autora. W Krakowie. 1873.

Po pierwszych pracach tego młodego poety, po „Idealiście“, „Marzeniach i Piosenkach“, obecny zbiór jest miłą dla nas niespodzianką. — Poeta urósł tu w siłę i dojrzałość: tak pod względem języka, jak i myśli. — Rozczytawszy się jednak uważnie w jego nowej książce, widzimy, że zbłąkał się potrosze na drodze nie właściwej swojemu talentowi, nie bez powrotu jednakże — nie stanowczo — o czem przekonywują nas „Rusalka“ i przekłady z Tarasa Szewczenki, a mianowicie „Topola“.

Zbłąkanie to jest znaczące, i szerzej rozpisać się musimy, ażeby jasno je określić.

Hasłem dnia — dla większości młodzieży naszej przynajmniej — jest pozytywizm. Wszedł on, jako metoda, w naukę; jako idea — w życie społeczne nasze. Owładnął etyką, przejął estetykę i postawił sztukom w ogólności, a poezyi po szczególe, ciężką alternatywę: „Być albo nie być“. Być, znaczy iść z pozytywizmem, stać się jednym ze strumieni tej wielkiej rzeki, jednym z jej wyrazów; — stracić rację bytu wedle nich, jestto trzymać się w duchu, tematach i dążeniach dotychczasowej szkoły i tradycyi poetyckiej.

Nie zaprzeczamy bynajmniej, że pozytywizm ma słuszność, domagając się od poezyi, ażeby przyjęła i odegrała rolę w jego ruchu... Rola to nawet wdzięczna. Cała kopalnia tematów, cały skarb pięknych celów i wzniosłych myśli — leży w dążeniach tej młodej szkoły. Jednakże dla artysty są w niej i szkopyły nielada. Wybór tematu nie trudny; — opracowanie jego niezmiernie trudne, — trudniejsze niż kiedykolwiek dawniej. Pozytywizm gardzi frazeologią poetycką: żąda jędrnej i jasno wypowiedzianej myśli. Obyłby się nawet bez ozdób i przyborów stylowych. Ale sztuka starsza od niego i bodaj czy nie bardziej długowieczna. Ona to dyktuje prawa i nakłada pewne obowiązki, które utwór każdy pod karą prozaiczności i płaskości spełnić musi.

Myśl postępową, wypowiedziana w szeregu rozumowań trzeźwych i loicznych — stworzyć może wyborny artykuł

dziennikarski, doskonałą broszurę ekonomiczną lub socjalną; — na poezję lub poemat tego za mało.

Sztuka domaga się obrazu — zamiast syllogizmu, zapału, i expresji silnej — zamiast wierszowanych refleksyj; czarodziejskich słów, budzących jednym dźwiękiem sto myśli, i przekonujących rozum przez uderzenie na wyobraźnię i uczucie. A wyobraźnia domaga się kolorytu; a uczucie wiary osobistej w rzeczy wypowiedane i zapału w poecie. I tu właśnie pomiędzy prozaicznością pozorną tematów, a wymaganiami sztuki rozpoczyna się istotne zadanie i trud poety. Pochwycić ów temat z właściwego punktu, znaleźć w nim stronę dostępną dla artysty i należącą do królestwa poezji — oto jest tajemnica, którą odkrył prawdziwy — a w tym razie bardzo wysoki nawet talent — tylko zdoła. Inaczej każdy utwór poezji w kierunku pozytywnym — wierszowanym będzie tylko traktatem albo popularnie brzmiącym komunałem. Trwałości utworom podobnym nie zapewni konwencyonalny język pozytywizmu i jego hasło, — ale jedynie tylko trafne uderzenie w wiecznie drgającą fibłę uczuć i wrażeń ogólnoludzkich: odbicie bólów, radości, dążeń i zawodów człowieka, na ten raz nie wyjątkowego człowieka, jak Manfred lub Lara — bo tych już nie ma — ale człowieka zbiorowego, ludzkość. Są to więc bole i radości, dążenia i zawody pospolitsze, powszechniejsze, ale przeto trudniejsze właśnie dla sztuki. Śmiało powiedzieć możemy, że dotychczasowe wychowanie poetyckie nie pozwala żadnemu z młodych poetów, być mistrzem w tym kierunku, i że nie prędzej nasza doba wyda dla siebie mistrza, aż uwyraźnią się i rozpowszechnią mocniej jej cechy. A będzie to poeta całkiem odmienny od przeszłych, może do przyszłych niepodobny: całkiem jedyny dla siebie — jak ta epoka, która osobiwają jest i jedyną w sobie — a jednakże tylko przechodnią.

Te ogólne uwagi przymierzamy do poezji w nowym kierunku, napisanych przez p. Grudzińskiego, jak „Anioł upadły“, „Bohaterstwo pracy“, „Fiat Lux“, „Sztuka i prawda“, „Rozmowa z Maćkiem“, „Gawęda przy kominku“, „Dramat na bruku“ itd. itd., i znajdujemy je... zboczeniem od natury jego talentu.

P. Grudziński jest poetą liryczno-opisowym, jak dowiódł tego świetnie „w Rusalce“, i na tej drodze ma piękną przyszłość przed sobą. Ale wyrósł on widocznie na chlebie innych zasad niż pozytywne, i poezje jego w tym sensie nikogo nie porwą ani przekonają... ponieważ braknie im zapału i szczerości, a nawet przymiotów czysto zewnętrznych: kolorytu i formy odpowiedniej. Rzadko który z tych błędów, i to chyba pojedynczo, spotyka się w innych utworach tego zbioru, — napisanych wedle tradycji ducha i formy, złożonych w dotychczasowej poezji naszej, — co jest tryumfalnym dowodem słuszności uwag naszych, co do rodzaju talentu p. S. Grudzińskiego.

Do owych udatnych utworów liczymy przedewszystkiem „Obląkanych“ i, jeszcze raz powtarzamy, „Rusalkę“, oraz przesłiczne przekłady Szewczenki, i wreszcie chociaż manierowaną trochę „Sielankę“ i piękny wiersz do „pani Maryi S.“

Powiedzieliśmy przedewszystkiem, bo w wielu innych, jak np. „w Kartce z Pamiętnika“, w „Przebudzeniu się serca“ obok pięknych i szczerze pocztutych ustępów, są żarty

z samego siebie; obok wzniosłej myśli, umyślne załamania się i upadki w dykcję i w tok prozaiczny, płaski. Czy jasność wyrażenia na tem zyskuje? Wątpimy! Język „Pana Tadeusza“ jest przejrzysty, jak woda spokojnego jeziora, prosty i naturalny — a przecież nie pospolity. Szlachetność jest warunkiem piękności — i koniecznością Prawdy w sztuce.

Michał Bałucki, Sabina. (odbitka „z Kraju“) 1873

Jak „Życie wśród ruin“, jak „Siostrzenica księdza proboszcza“, i ta powieść Bałuckiego zaczyna się świetnie, a rozwija z przymusem i sztucznem w wielu miejscach nawiązaniem. Widocznie jest to winą pospiesznej produkcji, że wszystkie te wymienione prace chorują na plan. Spotkania i sytuacje nie wywijają się naturalnie; nowe postacie gwałtem i w naciągany sposób sprowadza autor do spotkania się w akcji z innymi. Szczególne zdarzenia popychają powieść naprzód. I tak w „Sabinie“ niktby się nie spodziewał znajomości starego Majora z Odachowską, cóż dopiero, że ten w niej się kocha, o czem wkrótce ani mowy nie ma — skoro środek ten autorowi stał się niepotrzebnym. Pan Modest, konkurent o rękę Klarci, musi być zarazem lichwiarzem, znajomym ciotki Zygmunta, jej mordercą, adwokatem majora na to, ażeby przyjechał do niego i zakryty portret zobaczył, który dla niego tam wisi; ażeby jego zakrycie wyjaśnić, mgliste i napomkniętej ledwo, nowej historyjki potrzeba. — Pan Modest jest zarazem factotum lorda. Ażeby rozpaczający Kazimierz dostał się pod opiekę Klarci i miał z niej siostrę miłosierdzia w gorączce — potrzeba, ażeby major z Sabiną nie wiedzieć dlaczego nie wrócili z teatru do domu, i żeby Kazimierzowi się przywidziało, że nocowali u Odachowskich. Potrzeba bowiem, żeby upadł przed ich bramą. Co za zbiór zdumiewających zbiegów okoliczności i coups du theatre!! Nic tu nie pomaga znany i zadziwiający prawdziwie talent autora, za nic zręczność i rutyna — szwy widać.

O prawdziwości tych uwag i ich znaczeniu przekonają się czytelnicy, wzięwszy do ręki tę książkę, do czego pomimo powyższych błędów, dla jej idei zasadniczej, dla wybornie narysowanych i z wielką prawdą psychologiczną przeprowadzonych głównych postaci, — wreszcie w imię ciekawości i interesu, które wybory pokarm w tej powieści znajdują — szczerze czytającą publiczność zachęcamy.

Aleksandra Grozy. Twardowski. Misteryum w 2 częściach, z podań narodowych. Brody, drukiem i nakładem J. Rosenheima.

Nigdy nasz obowiązek sprawozdawczy nie wydawał nam się przykrzejszym, jak przy rozbiorze tej książki. Aleksander Groza należy do szeregu przedstawicieli naszej świetnej, niedawnej poetyckiej przeszłości. Uznanie, którego używał dotąd, w pełni było zasłużone. — Piękny jego poemat „Trzy Palmy“, pod technieniem kierunku ku poezji wschodniej napisany, znalazł winne sobie miejsce w literaturze.

Jakżeż po tem wszystkiem przystąpić do oceny „Twardowskiego“?

Niestety! jeżeli prawdą jest, że boskie źródło talentu i natchnienia wysycha naraz do kropli — ta książka byłaby przerażającym tego dowodem!

Misteryum z podań narodowych!... Już ten tytuł rozbu-

dził w myśli naszej cały szereg obrazów. Widzieliśmy w nim tę czarodziejską, do rdzenia średniowieczną postać, wyglądającą jak symbol budzących się prądów postępu, które miały otworzyć wielką epokę nieśmiertelnych odkryć i wynalazków, symbol zrodzony w naiwnej wyobraźni ludu, z dążeń, faktów i złudzeń owych czasów złożony; zgadywaliśmy tę postać, powtarzającą się uparcie w tej chwili w różnych krajach — pokrewną Faustowi, a przecież tak szczeropolską, z księgą Hermesa a przy szabli, z żoneczką — Heród-babą; pełnego fantazyi szlachcica, rozbijającego w przebraniu garnki swojej żonie, brojącego bardziej jowialnie niż szkodliwie po świecie za diabłą pomocą, nawet w ostatniej chwili na fatalnym miejscu figlującego z szatanem, wreszcie ocalonego szczególnym nabożeństwem do Najświętszej Panny i zawieszzonego między niebem a ziemią, z godzinkami na ustach, i wiernym sługą zamienionym w pająka. Co za cudowna i bogata legenda! Jakaż cecha narodowa, odcisnięta na jój plastyce i filozoficznym znaczeniu!

I cóż znaleźliśmy? Szereg licznych scen, z których każda przedstawia jakiś epizod z życia Twardowskiego, od chwili wręczenia mu doktorskiego dyplomu w Krakowie aż do tragicznej i fantastycznej katastrofy jego. Żadna myśl artystyczna nie przewodniczyła układowi temu! Mnóstwo z pomiędzy tych epizodów — bez potrzeby; nie uwydatnia się przez nie bowiem ani postać Twardowskiego ani epoka. Tej mianowicie głównej rzeczy: kolorytu epoki, który przedewszystkiem wytłumaczyłby, oświetlił odpowiednio i przedstawił właściwie postać Twardowskiego — nie masz ani śladu.

Cóż więc sobie założył autor? Myśl etyczną przeprowadzić? Ten zamiar, ze wszystkich przypuszczalnych, najwidoczniejszy jeszcze. Twardowski grzeszy, sprzedaje się szatanowi — ale wszystko dla miłości ludzi; pragnie bowiem wtedy i siły, ażeby tę ludzkość uszczęśliwić. Za to też Bóg ratuje go od mąk piekielnych, a „Głos z nieba“ powiada:

„Za to, żeś ludzkość nad wszystko miłował,
Będiesz przy ziemi z obłokiem żeglował;
Paweł (sługa) przy tobie, w pająka postaci
Snując nic z siebie — do ludzi współbraci
Zbiegnie i wszelkie nowiny zdarzone
Zaniesie w twoje ucho upragnione;
Będiesz z ludzkością żyć, boleć serdecznie,
Ale nie z czartem i nie w piekle wiecznie;
W końcu i dla was błysnie dola błoga!...
Wszystko przemienie, krom Duszy — i Boga!!

Cóż jednak Twardowski zrobił w poemacie, ażeby zasłużyć na taką łaskę? W czemże się objawia miłość olbrzymia do takiej olbrzymiej stosowna nagrody. — Godzinki utworzył i nauczył je spiewać mieszczan krakowskich. Leczył ich jako doktor, wzywającym go tymże mieszczanom o ratunek na zarazę poradził, żeby się bawili i o nic nie dbali, i to jeszcze ten wyborny środek znalazł za podszeptem diabła, — „Kasię i Jurka sowicie obdarował, z Pulcheryą się ożenił, i to Elixiem miłości przez diabła rozżarzony. Cóż więc? Nic. Oto jest cały szereg zasług Twardowskiego, widocznych w poemacie. Zresztą przechadza się on w towarzystwie szatana do

Częstochowy, w góry Karpackie, następnie znajdujemy go w Kutej górze w Czechach, gdzie drukuje biblią, ale lud burzy drukarnię, jako rzecz szatańską; ztąd więc wraca do Krakowa; błądzi po cmentarzu; zostaje wojskim Krakowskim, chce się żenić z dziewczyną wiejską, której narzeczony zginął; ale narzeczony się odnajduje, i Twardowski uposażony ich sowicie na wspólne gospodarstwo, wkrótce potem z Pulcheryą, starą klucznicą, się żeni. Potem odnajdujemy go w Egipcie przy jakichś czarodziejskich, niewyjaśnionych przez poetę machinacyach ze sługą swoim Pawłem, tam znowu wskrzeszającego mumie. — Wkrótce potem za pośrednictwem, jak się domyślać można, pozyskanego w Egipcie sekretu umiera i zmartwychstaje odmłodzony. W akcie IV. (II części) znajdujemy go na Krzemionkach, gdzie zbudował piękny pałac, w którym przyjmuje Bonę, Zygmunta, Gamrata, Zamojskiego, Stańczyka, Reja, jako astrolog i czarodziej, ale studenci przez pomstę palą pałac. W scenie VII. znajdujemy już Twardowskiego w karczmie „Rzymie“, gdzie odbywa się blada parafraza znanej ballady Mickiewicza — figle z żołnierzem, z patronem, z koniem malowanym itd. Wreszcie szatan, wykonawszy wszystko, porywa go. Koniec wiadomy. Wszystko to przeplecione refleksyjami nad tajemnicami natury, nad ludzkością, światem, początkiem, końcem i rozmowami z nieodstępny towarzyszem swoim, „Experiensem“.

Któż jest Experiens?

Experiens jest szatan, blada kopia Mefistofelesa Fausta, jak przymilanie się do panny Pulchery jest błędem powtórzeniem kokieteryi Marty w Fauście z Mefistem...

Co robi ów szatan? Wodzi bez celu Twardowskiego, wciąga go w awantury, tłumaczy mu, jak świat wyglądał przed potopem, dokuczają we śnie mnichom w klasztorze, ażeby odkryć Twardowskiemu tym sposobem ich brudne sumienie itd.

Cierpliwości nam braknie na rozwijanie tego pasma porwanych nici, gdzie każda scena chodzi luzem i najczęściej nic nie znaczy i do niczego nie służy, chyba do pokazania, że Twardowskiemu i to się zdarzyło. Z tych przejść ani wiemy, że Twardowski był mądry, ani że był dobry, ani że popełniał zbrodnie, ani czego istotnie pragnął, ani na co mu się pomoc szatańska zdała, ani na co on się szatanowi przydał. Twardowski nie jest legendowy, ani filozoficzny, ani dramatyczny, ani poetyczny; jest czasami komiczny, szczególnie w kłótniach niewiadomo o co ze studentami, a zresztą zupełnie nic nie znaczący.

Ani jednej postaci wyrazistej. Rzecz dziwna, jest to robotka dziecinna prawie. Zabawka ćwiczącego się muz wychowanka! I co najokropniejsza, po stracie wszystkiego rutyna bodaj pozostaje! — wiersze w Twardowskim są fatalne, myśl rzadko gdzie wyższa i potyczniejsza!...

Przeczytawszy, cośmy napisali o tem, nie wierzymy sobie prawie, a jednak to najściślejsza — najprawdziwsza prawda. Czytajcie i sądzcie!

Gotowi jesteśmy prawie sądzić, że ktoś nadużył nazwiska znanego poety!!

W. O.

Niespodziewana wizyta krewnych.



Berko (we drzwiach). Aj waj, Mojsie, kochany braciszku, jaki ty pan! My do ciebie przychodzili na szabas - kigiel.
Bankier. Idź do tyzonce dzabel, ty paskidnik, ja tobie nie znam!